



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr - 12 stron

Warszawa, 22 czerwca 1952 r.

Nr 25 (117) Rok III

W NUMERZE m. in.: Stanisław R. Dobrowolski — Rzecz Czarnoleska; Włodzimierz Sokorski — Bibliotekarz a problem czytelnictwa; Igor Newerly — Do bibliotekarzy; Grzegorz Lasota — O właściwe wnioski z radzieckiej dyskusji o dramaturgii; Wiersze młodych poetów; Bogusław Kogut — Sprawa Floriana Dębicy; Tadeusz Peiper — Sekcja literatury dla dzieci; Andrzej Wróblewski — Notatki z Opolszczyzny; Marian Bielicki — Korea płonie; Bolesław Dudziński — Trylogia Haralda Herdala; Waław Sadkowski (Rola) — Przypomnienie Anteusza; Julian Tuwim — Jeszcze jeden wiersz poety Wiktora Andrzeja Butnego; Janusz Minkiewicz — Krytyka i samokrytyka; Krystyna Żywulska — Nauczycielka.

Burmistrz Dolly

Mówimy: Francja prawdziwa, Francja Wiktora Hugo. Mówimy: Francja walcząca. Wiazimy obywatela Dolly — bohatera mego Villejuif: przepasany trojkolorową szarą reprezentanta ludu stoi na szosie. Oook niego — ludność uboższego przedmieścia pod Paryżem; kowiety i mężczyźni, którzy umięją za Francję nie tylko ginąć, ale również żyć dla niej i bć się o jej sprawę. Mer Dolly przemawia. Es-korta Ridgwaya musiata stanąć. Droga do Paryza nie jest ani łatwa, ani szybka. Później, kiedy mija konsternacja, policja szarżuje tłum. Barwi się w nim rozwiana szar-miera-patrioty. Przypomina imie szar-fu: szarfe deputowanego Baudina na gruźniowej barkadzie 1851 roku, szarfe Delescluze'a.

Amerykańska okupacja niesie nie tylko śmierć i wojnę. Niesie ona również głód i faszyzm. André Stil jest w więzieniu. Do więzień wtrąca ciono marynarza Henri Martin i działaczy związkowych. Policja zakazała sztuki Rogera Vailland.

"Oto demokracja Brune'a, Pinay'a i Auriola" — woła Jacques Duclos, potrzaskując kajdanami. Oto zatony parawan, za którym agent policji przepływa, a skorumpowany bonza związkowy — toż obrońcy syndykalnych wolności. Książę Bouyer i Cagne, aresztowani zostali 28 maja, w czasie opatrywania rannego manifestanta. Ogłosili oni w prasie paryskiej sprawozdanie z przesłuchania, któremu ich poddano. Odbywało się ono przy pomocy żelaznych pretłów, patek gumowych, kopania w nerki. W ministerstwach przegotowano tymczasem nowe prowokacje policyjne: Tulon, Lorient, rewizje, obławy. Wszystko szłyte było co prawda grubymi nićmi i pękato w szwacu. Ale prefektura policji — stwierdził to prawiowcy dziennik "Combat" — chciała pokazać Waszyngtonowi skuteczność swoich metod... rząd zaś kierował się obawą przed skutecnością polityki komunistycznej godzącej w interesy USA". Oto obecna racja stanu Pinay'a — dawnego dyktarza Vichy.

"Robicie haniebną robotę. Jesteście agentami faszyzmu, opłatanymi przez Amerykanów". Tak powie-dział Duclos sędziemu Jacinot i towarzyszącym mu policjantom. Tak woła co dzień lud Francji do nowych kolaborantów — sygnatury "układu ogólnego", uczestników odbudowy hitlerowskich Niemiec. Jest to głos ludu, który zna swoją siłę. Pod hasłami zagrozenia drogi faszyzmu i wojnie, uwolnienia Duclos i Stila, strajkowały zagłębła Nordu i Pas-de-Calais, manifestowały Marsylia i Montpelier, Nimes i Rouen, Tuliza i Brest. Mówimy: Francja prawdziwa — i myślimy o tych miastach. Mówimy: Francja Wiktora Hugo — i myślimy o jego wierszach:

...Lecz wytrwaj. Trzeba walczyć. Jest groźna godzina. Niepomny lat podeszły od nowa zaczyna, Weteranie...

O przyszłości, którą Hugo przecisnął łotrom i oszczercom, mówił Jacques Duclos na akademii w Montreuil. Było to bardzo niedawno, w maju tego roku, w miesiącu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej. "Ojczyzna Dąbrowskiego — mówił Duclos — ukazuje dziś Francji promienną drogę socjalizmu... Przyjaciele i bracia polscy! Wspólnymi siłami ocalimy pokój i zobaczymy pewnego dnia, że nasz kraj, wznowiając wielką tradycję 1871 roku, odzyska swoją niezawisłość narodową, narzuci obalenie dotychczasowej polityki, pozabawi władzy Pinay'a i spółkę, pokrzyżuje faszystowskie plany de Gaulle'a i powoła do życia rząd ludowy, prawdziwy rząd francuski".

We Francji sroży się terror. W zmarszczonych gabinetach strach przed własnym narodem chodzi pod rękę z ukartowaną prowokacją. Ale amerykańscy generałowie i ich paryscy podwładni mają okazję przekonać się każdego dnia, że naród francuski nigdy nie zgodzi się ani na amerykańską okupację swojej ziemi, ani na wojenny sojusz z Bonn, ani na faszystowską politykę Pinay'a. Słowa Duclos należą dziś do całego ludu idącego drogą trudną i piękną. Bohaterska dziewczyna z Tours spotyka się na tej drodze z cieniami wyzwolicieli Orléanu. Burmistrz Dolly — z cieniami poległych pod Valmy i na Piere Lachaise, pod Verdun i na sierpniowych ulicach powstańczego Paryża. Ale burmistrz Dolly mówi przede wszystkim w imieniu żyjących. W imieniu milionów ludzi, którzy żyją i walczą o przyszłość swojej ojczyzny i losy pokoju.

Artur Międzyrzecki

JERZY PUTRAMENT

O NIEKTÓRYCH ZAGADNIENIACH TEMATYKI WSPÓŁCZESNEJ W NASZEJ PROZIE 1950 — 1952*)

Jak rozumiem tematykę współczesną? Pojęcie współczesności można znakomicie rozciągać i zwać. Proponuję, by nie wpaść w jałowe dyskusje — przyjąć, że dziełem o tematyce współczesnej nazywamy taki utwór, którego akcja odbywa się całkowicie lub w znacznej części po wojnie, w Polsce Ludowej.

Tak pojęta tematyka rozpada się dosyć wyraźnie na dwa poddziały: tematykę „zaraz po wojnie”, czyli tematykę okresu obejmowania i budowania władzy ludowej — i tematykę początków budownictwa socjalistycznego. To rozróżnienie tematyczne ma pewien sens praktyczny.

TROCHĘ STATYSTYKI

Jak wygląda ilościowo tak pojęta literatura o tematyce współczesnej? Spróbowałem zrobić statystykę naszej prozy powieściowej, wydanej w ciągu dwóch lat, od II kwartału r. 1950 do I kwartału roku bieżącego włącznie. Nie gwarantuję absolutnej ścisłości cyfr ogólnych — chciałbym stwierdzić, że opinie o zaniku w ostatnim roku tematyki współczesnej nie odpowiadają prawdziwie.

W ciągu dwóch lat ubiegłych, od kwietnia 1950 r. do końca marca b. roku, wydano ogółem w Polsce 73 utwoy oryginalne z działu prozy beletryzacyjnej czy reportażu powieściowego. Z tego do tematyki współczesnej zaliczyć można 29 utworów, czyli prawie 40 proc.

Zapewne i procent ten i zwłaszcza cyfry absolutne świadczą, że tematyka współczesna w prozie z pewnością nie zaspokaja potrzeb rynku czytelniczego. Ale gdy robimy te cyfry na okresy półroczne czy roczne, ujrzymy, że ogólna tendencja rozwoju jest zdrowa.

Tak więc w półroczu od kwietnia do października roku 1950 wydano utworów 16, w tym 5 o tematyce współczesnej, w następnym półroczu: 18 i 4, w następnym — 18 i 9, w ostatnim wreszcie — 21 i 11.

Innymi słowy, w ciągu roku od kwietnia r. 1950 do kwietnia 1951 roku wydano 34 utwoy, w tym załedwie 9 o tematyce współczesnej, podczas kiedy w następnych czterech kwartałach, na ogólną ilość 139 utworów, do tematyki współczesnej zaliczyć można 20 utworów.

Wynika z tego, że i ogólna twórczość prozyczna rośnie, choć wolno, i — co najważniejsza — tematyka współczesna zajmuje coraz więcej miejsca, wznosząc się od dwudziestu kilku procent w pierwszym roku do ponad 50 — w drugim.

SPRAWA SCHEMATYZMU

Dochodzimy do oczywistego stwierdzenia, że sprawa sprowadza się do kategorii jakościowej, a nie ilościowej. Książek o tematyce współczesnej ukazuje się sporo, ilość ich wzrasta w ostatnim okresie, obejmują one dosyć różnorodny wachlarz zagadnień. Natomiast jakość wielu z nich pozostawia dużo do życzenia.

Krytyka nasza od szeregu miesięcy poświęca zagadnieniu jakości sporo uwagi. Modnym terminem stał się ostatnio schematyzm. Niewątpliwie wrażenie niedo-ty, rozczarowania, które pozostawiają po sobie często utwoy o tematyce współczesnej, zmusza do zastanowienia się nad jego przyczynami. Zapewne, czasem wynika to po prostu z braku talentu autora, wy-daje się jednak, że poprzestawanie na tym wyjaśnieniu jest niesłuszne.

Nasi literaci i krytycy, czując niebezpieczeństwo, które zagraża literaturze o tematyce współczesnej — usiłują, czasem w prasie, częściej w rozmowach między sobą — wykryć jego przyczyny i szukać środków zaradczych. Nie brak przy tym pospiesznych uogólnień, ryzykow-

nych hipotez, a czasem po prostu szkodliwych pogaduszek, których przeznaczenie sprowadza się do prób zahamowania czy wypaczenia realizmu socjalistycznego.

Tak więc niepowodzenie tej czy innej książki o tematyce współczesnej rodzi w pewnych kołach radosne szepty o bankructwie realizmu socjalistycznego. Czasem teoryjki takie przybierają osobiwą formę: rzekomo tematyka wiejska czy produkcyjna nie interesuje chłopów czy robotników, którzy znają na wylot życie wiejskie czy fabryczne i chcieliby w książkach znaleźć — ja wiem? — życie artystyczne! Dwa fakty ponad wszelką wątpliwość obalają te szkodliwe tezy.

Po pierwsze: duże sukcesy dramatów o tematyce współczesnej w zakończonym niedawno festiwalu amatorskim. Robotnicy i chłopcy, grający te sztuki, nie tylko sami stwoyili szereg doskonałych postaci scenicznych, ale potrafili zainteresować współczesną tematyką dosłownie milionowe rzesze nowych widzów.

Po drugie: ogromne powodzenie arcydzieł radzieckiego realizmu socjalistycznego właśnie u nowego czytelnika polskiego świadczy, że kierunek realizmu socjalistycznego jest najlepszą drogą docierania literatury do nowych środowisk czytelnicznych.

Trzeba stwierdzić, że na ogół krytyka nasza w ocenie schematyzmu niedaleko zaszła poza opis poszczególnych jego objawów. Próby głębszej analizy nie dały, jak dotąd, zadowalających rezultatów.

Wydaje mi się, że główna tego przyczyna leżała w niewłaściwym interpretowaniu tych zjawisk. Traktowano je jako skutki słabości artystycznych, braków tak zwanego (nie wiadomo po co) warsztatu pisarskiego, niechlujstwa itd.

Chociaż poszczególne te twierdzenia mają czasem trochę racji — (faktem jest m. in., że znaczna część pisarzy pracujących nad tematyką współczesną — to debiutantów) — to jednak poprzestanie na piaszczynie artystycznej wypacza analizę schematyzmu i uniemożliwia jego zwalczanie.

Pierwszą i najważniejszą jego przyczyną są braki natury ideologicznej. Schematyzm rodzi się z nieznaności naszego życia współczesnego, nierozumienia jego procesów rozwojowych, z interpretowania ich przy pomocy zwulgaryzowanych analiz schematyzmu i uniemożliwia jego zwalczanie.

POSTAĆ I KONFLIKT

Podstawowe elementy utworu powieściowego to postać i konflikt. Tak jak publicysta i krytyk rozwijają interesujący go temat przy pomocy odpowiedniego doboru rozumowych argumentów, a poeta — przez zestawienie obrazów poetyckich — tak prozaik (czy dramaturg) dobiera i zestawia postacie powieściowe.

Prozaik, który nie umie stworzyć „żywych”, przekonujących postaci, nie może pretendować do miłana czytelnika.

Co to znaczy „żywa” czy „pogłębiona” postać powieściowa?

Odczuwamy pewną postać powieściową jako „żywą”, wtedy gdy jej zachowanie się w utworze jest uzasadnione jej charakterem, uprzednio ukazany przez autora. Charakter ten, wyrażony w działaniu, winien składać się z szeregu cech ze sobą jakos zestrojonych (czasem nawet na zasadzie kontrastu).

Sprawą niezmiernie wagi, decydującą o losie dzieła powieściowego, jest przestrzeganie przez autora tej ściślej autonomii psychologicznej stworzonych przez siebie postaci. Naruszenie tej autonomii, zmuszenie tej, czy innej postaci do działania, nie uwartunkowanego zarysowanym uprzednio jej charakterem, rujnuje przeżycie artystyczne, niweczy zdolność oddziaływania utworu.

Cecha specyficzną literatury jest poprzez szczególne ukazywanie ogólnie, jest droga do konkretnego do uogólnienia. Tylko wtedy czytelnik jest w stanie uwierzyć w dzieło powieściowe, jeżeli przyjmie stworzone przez autora postaci jako konkretne charaktery, a nie pseudoni-

my tej czy innej cząstki tematu powieściowego.

Czy położenie nacisku na psychologię postaci, na ich autonomię psychologiczną, nie świadczy przypadkiem o zabłąkaniu się na bezdroża psychologizmu?

Oczywiście, że nie. Jeżeli autor za cel sobie stawia analizę nieważnych, wyjątkowych, czy zgoła patologicznych „drgnięć duszy” — to jest psychologizm. Ale jeśli pisarz dla ukazania tematu społecznego powołuje do życia pełne i pogłębione postaci i przestrzega ich autonomii psychologicznej — jest on oczywiście po prostu dobrym pisarzem realistycznym.

Zobaczmy, jak te zasady traktują niektórzy z naszych prozaików.

„ANKIETA PERSONALNA”

W powieści Edmunda Niziurskiego „Gorące dni” jednym z czolowych bohaterów jest „wahający się średniak”, Klimek. Jest on w Z.M.P., należy do spółdzielni produkcyjnej.

(C. d. na str. 3-ej.)

MIECZYŚLAW JASTRUN

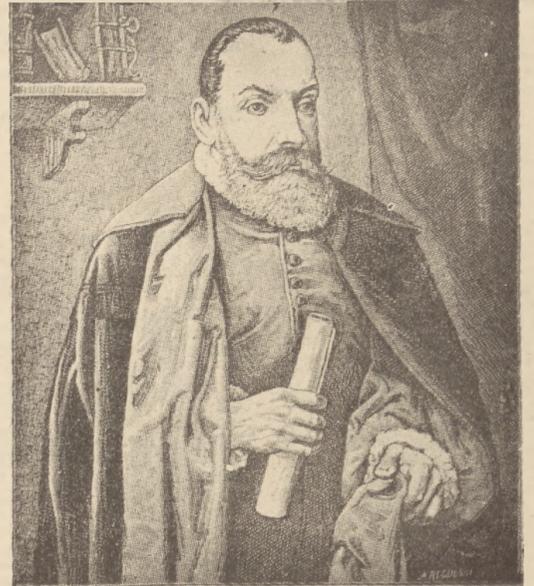
W Czarnolesie

Jesteśmy w Czarnolesie, w którym znaczną część swego życia spędził wielki poeta. Po latach czteryty z głębokim wzruszeniem patrzymy na miejsca, gdzie żył i pisał swoje wiersze, tak piękne, tak mądre, że oparły się burzom wszystko niszczącego czasu. Jesteśmy w Czarnolesie, gdzie stał niedługi dom poety, który był pieczą życia rodzinnego, gdzie rosła ona słynna lipa czarnoleska, o której Mickiewicz powiedział, że była czuła na głos Jana. Nie ma już tego drzewa, mimo że życie drzew trwałe jest od życia człowieka, ale żyje nadal — w nieśmiertelnych słowach poety. Żyje dlatego, że jego miłość życia była tak obszerna, iż zmieścić mógł w niej nie tylko serdeczne uczucia dla rodziny, ojczyzny, przyjaciół, lecz również widoki gór, lasów i rzek, na których spoczął jego wzrok czuły i rozumny.

Jan Kochanowski był poetą wielkim, tak wielkim, że właściwie z nim nie może być porównywany, dlatego przede wszystkim, że sam musiał stworzyć nie tylko pieśń swoją, ale również pieśń dla innych. Nie przyszedł bowiem jak jego następca do gotowego już gospodarstwa poetyckiego, lecz musiał sam własnym geniuszem wykształcić nieokreślony jeszcze wtemczas język polski i uczynić go zdatnym do wyrażania wcale nie prostych uczuć i myśli, musiał sam w mowie tej tworzyć obrazy poetyckie, dźwięczne połączenia słów, jakich nie znała dotąd szorstka i niewyrobiona składnia polska. Dość porównać dźwięk mowy Kochanowskiego z językiem Reja, by przekonać się, jak ogromnej pracy dokonał ten pierwszy wielki poeta polski.

A była to praca nie tylko reformatora mowy, składacza rymów, wynalazcy nieznanych dotąd w wierszach polskich nowych rymów, była to praca przede wszystkim głęboko czującego serca i wykształconego na pismach starożytnych Greków i Rzymian umysłu. W czasach formowania się narodu polskiego w nowożytnym tego słowa znaczeniu Jan z Czarnolasu towarzysząc nie jako temu procesowi historycznemu, staje się poetą narodowym.

Był poetą narodowym, wyrażał bowiem myśli i uczucia gminu szlacheckiego, wyrażał uczucia i myśli beżmiennej masy drobnej szlachty, która siedziała w swoich dworach wokół Czarnolasu, na wielkich, leśnitych wówczas przestrzeniach Polski, szlachty, która spławiła zboże do Gdańska, handlowała, płażyła życiem rodzinnym i państwowym. Wyrażał uczucia i myśli tej masy beżmiennej — wtemczas, gdy pisał *Pieśń o spustoszeniu Podola przez Tatarów*, gdy w *Gallo croicanti* odpowiadał na wymierzony przeciw Polsce paszkwil poety dworskiego, który towarzyszył Henrykowi Walecznemu, gdy chwalił urodę życia wiejskiego w *Sobotce*, gdy dawał folę humorowi i nie zawsze sta-



W dnach 14 i 15 czerwca odbyły się uroczystości ku czci Jana Kochanowskiego, na które złożyły się: konferencja literatów poświęcona Kochanowskiemu w Związku Literatów w Warszawie oraz odsłonięcie pomnika poety w Czarnolesie. Poniżej drukujemy wygłoszone w Czarnolesie przemówienie Mieczysława Jastruna. Sprawozdanie z przebiegu konferencji i uroczystości czarnoleskich zamieścimy w następnym numerze „Nowej Kultury”.

nesansową wybujałość. Radość życia przelewa się przez te krótkie wiersze, zakończone jak żądłem ostrym dowiecipem. Są wśród nich i zatroskane, i smutne, ale zawsze przegłąda się w nich uroda życia. Bo też ten uczony poeta, naladowany cytatami łacińskich i greckich autorów, nie miał w sobie nic z nudziarstwa filologów. Jakoś lekko nosił w głowie tysiące nieśmiertelnych wierszy. Brał z nich co się dało, ale dawał im bicie własnego serca i rytm swoich kroków.

Z zadziwiającą świeżością przyswajał mowie polskiej tematy klasyczne. Mit trojański w *Odprawie posłów greckich* bardzo jest przystosowany do warunków polskich; owi posłowie greccy i Trojanie zachowują się i mówią jak współcześni polscy Polacy. Poeta świadomie zabiegał o ten efekt, i nie będąc pewny wyniku, tłumaczył się w liście do hetmana Zamojskiego z rymów, które po raz pierwszy do poezji naszej wprowadził:

„Rzeczy też drugie nie wedla uszu naszych. INTER CAETERA trzy są chory, a trzeci jakoby greckim chorom przysygnia, bo oni już osobny charakter do tego mają; nie wiem jako to w polskim języku brzmieć będzie.” A jednak poeta wyszedł obronną ręką i stworzył takie arcydzieło rytmu i eufonii jak ów trzeci chór: „O, białoskrzydła morska pławaczko, wychowanico Idy wysokości...”

Przy tym całej tej mitycznej tragedii umiał nadać okolicznościowe, polityczne akcenty, więc: uczynił z niej tragedię narodową. Ustrzegł się martwoży, wniósł własne życie nawet w przekłady, czy to będą trawestacje Horacego, czy tłumaczenie fragmentów „Iliady”, czy urywek przekładu „Alcestis”.

Tłumacząc rozpowszechnił przez zwolenników Reformacji „Psalterz”, Kochanowski nasylił go własnymi uczuciami, przepoił polszczyzną, może nawet w niektórych rytmach przekładu idąc za tonem pieśni i kołendy ludowej.

Słusznie powiedział Mickiewicz, że Kochanowski wziął formę pieśni gminnej i podniósł ją do godności klasycznej. W poezji jego, mimo spokojnej harmonii, która zdaje się napelniać wiersze czarnoleskie, odbijają się przecież i ścierają ze sobą rysy i przeciwieństwa epoki.

Humanizm i renesans w Polsce rozwinął się na gruncie jeszcze feudalnym, gdzie szlachta walczyła z magnatami i z mieszczaństwem, od chwili wprowadzenia gospodarki folwarcznej narzuca chłopom coraz cięższą pańszczyznę. Humanizm w pierwszym okresie pojawia się na dworach niektórych magnatów i biskupów: ma wtemczas jeszcze charakter kosmopolityczny, nie narodowy, w dziedzinie języka kontynuuje średniowieczną wrogość kościelnej łaciny wobec języka narodowego. Później, wyszedłszy z pałaców, obejmując coraz szersze warstwy spo-

czeństwa, humanizm staje się prądem narodowym.

Nie przestając wielbić dzieł starożytnych Greków i Rzymian, twórcy Odrodzenia w walce ze skostniałą łaciną średniowieczną otaczają pieczę języka ojczystego. Odrodzenie i wzrost języka narodowego także u nas łączy się w tym czasie z ruchem Reformacji, z walką o wyzwolenie Polski spod zależności od Rzymu.

chwile. Ta wioska, niegdyś wśród wielkiego lasu położona, stała się symbolem pogodnych losów ojczyzny. Do Czarnolasu, niby do polskiej Arkadii, ziemi szczęśliwej, wzdychali w czasach niewoli politycznej i społecznej nasi pisarze. Słowacki, Norwid i wielu innych poetów w Czarnolesie umieszczało swoje marzenia o złotym wieku ojczystym.

Niech przy próżnym pogrzebie żadne narzekanie, Zaden lament nie będzie... Prawie cztery stulecia minęły od chwili, gdy poeta napisał te słowa.

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI

Rzecz Czarnoleska

I udarłem się na skałę pięknej Kaliopy, Gdzie dotychczas nie było znaku polskiej stopy.

Zastanawia i zdumiewa. Olsniewa urokami polskiej mowy. Uwodzi i czaruje. Wciąż jednakowo od czterech już stuleci.

Przed wszystkim wszakże każdego, komu nie obce dzieje naszego piśmiennictwa, naszej narodowej poezji, wprawia w niecodzienny podziw, nakazuje mu zastanowić się nad jedną, zawsze fascynującą sprawą.

„Literatura polska pierwszej połowy wieku — pisze o piśmiennictwie naszym XVI stulecia jego znakomity znawca Aleksander Brückner — to zbieranina przypadkowa wszelakich tłumaczeń; charakteru narodowego jeszcze nie miała...”

Wyższe potrzeby kulturalne cieniutkiej górnej warstwy ówczesnego społeczeństwa polskiego zaspokajała w tym względzie samowładna do niedawna i wszechpotężna na ogromnych obszarach Europy łacińska.

Bezpośredni poprzednik Kochanowskiego, Mikołaj Rej z Nagłowic, który pokusił się w polemicznym ferworze rozpatanych przez Reformację religijnych sporów i gorącej w owej dobie dyskusji ustrojowej pisać dla szlachty po polsku, stał powszechnie i słusznie obwołany ojcem naszego narodowego piśmiennictwa, pozostawił po sobie jednak, w dziedzinie poezji zwłaszcza, dzieło bardzo jeszcze niedoskonałe.

Jeżyk poetycki pana na Nagłowicach — to mimo wielu jego bezspornych zalet instrument bardzo niesprawnym. Rubaszne często i nieraz wulgarnie wiersze rejowskie, naszpikowane natrętą dydaktyką upartego moralizatora — co tu dużo gadać! — mimo nowej już niedługo, choć nie nazbyt rozległej treści, w pewnym dośrodku osztywniały się tkwią przeciw korzeniom gdzieś jeszcze w upodobaniach estetycznych średniowiecza.

Brakowi intelektualnego pogłębienia i emocjonalnemu ubóstwu towarzyszy tu także ubóstwo, a nawet nie rzadko nieporadność wersyfikacyjna. Kuleją jeszcze najwyraźniej rytmy i rymy jego „wirszów”, czyniących zadość umysłowym potrzebom średniej przede wszystkim szlachty, jej niewybrednym jeszcze, nieukształconym gustom.

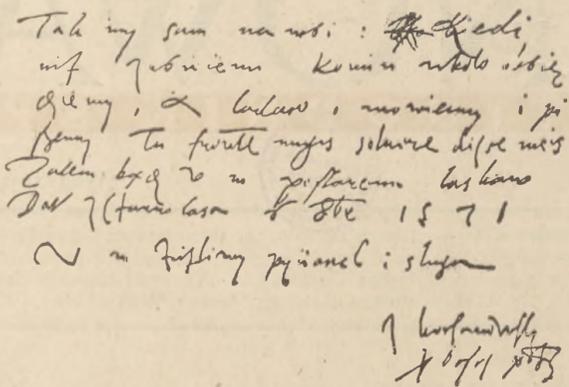
I oto na tle takiego grubym zaledwie kreskami narysowanego obrazu rozwoju poezji naszej, ścisłej zaś rzecz biorąc, na takim tle obrazu nieobecności polskiej poezji pojawia się Jan Kochanowski. Pojawia się i — co tu znów gadać! — dzisiaj jeszcze po upływie czterech wieków zastanawia i zdumiewa.

świecenia i pracy twórczej, kraj w wielkiej rodzinie narodów, dla której pokój jest pierwszym słowem, koniecznym i powszednim jak zdrowie i jak chleb, Rzeczpospolita robotników i chłopów — z uwagą słucha głosów przeszłości, jeśli miały one w sobie zaród nowego życia, jeśli zwiastowały przyszłość, jeśli służyły postępowi.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski Z mogłoby powstać, on by to zrozumiął, Myśląc, że jakiś poeta niebieski, Który mu w grobie nad lipami szumiął, Słyszcy ubrany w dawny rym królewski Mową, którą sam przed wiekami umiał.

Mieczysław Jastrun

Autograf Kochanowskiego



Winieta tytułowa pierwszego wydania „Rzecz Czarnoleska” Kochanowskiego.

zycji jedynie najbardziej uprzywilejowanym, uczynił Jan Kochanowski mistrzowskie narzędzie artysty, bezcenny instrument, zdalny do wyrażania już najsurowszych nawet odcieni, myśli i wzruszeń. Czytelnika ksiąg Jana z Czarnolasu, choćby najmniej wrażliwego na uroki poezji, zadziwić musi jedno: zdumiewająco rozległy krąg tematyki jego wielkiego dzieła, wyznaczony tak odległymi, tak — zdawałoby się na pozór — niewiele mającymi ze sobą sprawami. Od finezyjnych uczuć miłości po żarliwe przeżycia religijne, od swawoli zawartej w niektórych z fraszek i renesansowej radości życia po najgłębszą zadumę nad indywidualnym losem człowieka oraz patriotyczną troską o naród. Niesposób tu wyliczać całego bogactwa obfitego rejestru tematyki i utworów.

ki współczesnych sobie szlacheckich czytelników — przekształcał tę nieraz jeszcze na pół średniowieczną świadomość. Uczył nowych już, humanistycznych pojęć o życiu i świecie, budził w sercach nowe, nieznane dotąd uczucia i wzruszenia. Tak więc „Rzecz Czarnoleska”, wielkie, nieśmiertelne dzieło Jana Kochanowskiego — to dzieło postępu pchnięte z bezprzykładnym rozmachem przez uskrzydloną myśl genialnego poety.

kretności, plastyka tych obrazów, ich niezwykła sugestywność powodują, że są one nam zawsze bliskie, swojskie — fascynują. Oto co dzisiaj jeszcze sprawia, że Jan Kochanowski nie jest tym poetą, który: „...słuchaczów próżny gra za płem, Przeciwiągając się światczom, które nad łakami pieśniami. To sprawia, że spełniło się piękne prorocтво czarnoleskiego czarodzieja: Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty Nie będą moje czule nocy bez zapłaty; A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy, To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.

SATYR Albo Dziki Mac.

Iana Kochanovyskiego.



„Satyr” — winieta tytułowa wydania z 1564 r.

rów autora „Pieśni świętojańskiej o sobótce”. Wielki humanista mógł o sobie powiedzieć, że naprawdę nie co ludzkie nie było mu obce. Pisał on psalmy i obok tego wiersze na najbardziej aktualne w jego dobie, publicystyczne — powiedzieliśmy dzisiaj — tematy, tworzył iskrzące się humorem, mistrzowskie drobniaki dla zaspokojenia codziennych, towarzyskich potrzeb i zgłębiał w swojej poezji „wieczne” problemy życia i śmierci, miłości i cierpienia.

Więcej: w zakresie każdej z tych spraw potrafił odkryć tyle aż różnorodnych barw i półtonów, tyle nie raz najzawilszych, najsurowszych komplikacji, osobliwych wariantów.

Dla tych wszystkich spraw i ich najbardziej delikatnych, pastelowych odcieni — dla ich wyrażenia umiał znaleźć równie doskonały, finezyjny kształt, dla ich oznaczenia właściwe słowo w mowie ojczystej. I na tym się zasada wielkości Kochanowskiego — jego rewolucyjne znaczenie w naszych dziejach i naszym piśmiennictwie.

Wspaniały twórca „Pieśni”, który się „rymy swymi ważył zetrzeć z poety co znakomitszymi”, miał — co nie jest bez znaczenia — świadomość swojej wyjątkowej pozycji, pozycji dającej się zestawiać jedynie chyba z późniejszą rolą i znaczeniem Mickiewicza, zdawał sobie sprawę z tego, że wdarł się tam, „gdzie dotychczas nie było znaku polskiej stopy”.

Tworząc polski język literacki, zakładając fundamenty naszej narodowej poezji, renesansowy mistrz rozszerzał zarazem krąg świadomości

o najbardziej istotne pytanie — lektura poezji Kochanowskiego. Zachwycał się Kochanowskim — jak powszechnie wiadomo — Adam Mickiewicz, z jego mistrzowskich kart czerpał naukę, kształtując własne, niedościgłe mistrzostwo. Był i pozostał do dzisiaj najgodniejszym kontynuatorem jego wspaniałego dzieła.

Do powagi Kochanowskiego odwoływał się w poetyckim sporze z Mickiewiczem Juliusz Słowacki, składając w strofach „Beniuśkiego” hold twórcy „Pana Tadeusza”. „Czarnoleskiej ja rzeczy chcę — ta serce uleczy! — wolał wśród rozpacz Cyprian Kamil Norwid.

A dzisiaj? Pod cieniem czarnoleskiego drzewa nieraz znajdował źródło twórczej inspiracji Julian Tuwim rozkochany w swojej „ojczyźnie-polszczyźnie”.

U Kochanowskiego też szukał największego tonu Jastrun, gdy zabierał się do pisania swojego pięknego „Poematu o mowie polskiej”. I on to mu, stary ów Jan Czarnoleski, wespół z genialnym twórcą „Pana Tadeusza”, ten ton poddał.

Czytelnik, który dzisiaj ochyla się nad kartkami ksiąg Kochanowskiego, nie dostrzega, by kartki te pozółkły. „Rzecz czarnoleska” — to przede wszystkim rzecz najgłębiej ludzka. I dlatego nieśmiertelna.

Dlatego dzisiejszy czytelnik mimo przedziału czterech stuleci odkrywa w niej niejedno własne wzruszenie, niejedną obraz własnego cierpienia i własnych radości, własnych nadziei i zawodów, triumfów i klęsk. Kon-

Bo przecież te „czule nocy” to niejednokrotnie naprawdę bezsenne godziny, stracone na upartym poszukiwaniu owej „dobrej myśli”, niezbędnej człowiekowi jako busola wśród burz życia.

Czy epikurejska filozofia równo wagi duchowej skojarzona z chrześcijańską ufnością w opatrność, która w końcu wydała się Kochanowskiemu najwłaściwszym dla jego stanu średniego ziemianina katechizmem życia, może być i dla nas dzisiaj miarą etyczną — to już inna sprawa. I nie w tym rzecz.

Sam Kochanowski zresztą w ciężkich dla siebie chwilach chwiał się w swojej filozoficznej wierze:

Fraszka cnota, powiedział Brutus porażony, Fraszka, kto się przypatrzy, fraszka z każdej strony! Kogo kiedy pobożność jego ratowała? Kogo dobroć przypadka złego uchowała? Nieznajomy wróg jakis mieszka ludzkie rzeczy...

Rzecz w czymś o wiele istotniejszym. Bliski nam Jan z Czarnolasu przez tę samą w zasadzie humanistyczną postawę, łącząc nas mimo rozdźwięku wieków — przez prymat spraw człowieczych w jego poezji, uczucia miłości i żarliwy patriotyzm.

Toteż nie trudno u Kochanowskiego o najeżony werseł, który i dziś służyć może jako aktualny nakaz życia zbiorowego. Słuszny poczciwej sławie, a jako kto może, Niech ku pożytku dobra wspólne pomoże! A jeśli komu droga otwiera do nieba — Tym, co służą ojczyźnie...

O ileż bardziej jeszcze ujmujący jest renesansowy mistrz z Czarnolasu tam, gdzie przemawia językiem osobistych — chcielibyśmy powiedzieć — prywatnych wzruszeń. Język ów wtedy osiąga niejednokrotnie cechy uwodniczej prostoty:

Ty śpisz, a ja sam na dworze Jeszcze od wieczornej zorze, Cierpię nocne niepogody, Użatuję nie mojej szkody, Stuchaj, jako bije w ściany Z gwałtownym dźwięm grań zmieszany; Ocknij się, a przemów słowo...

Kochanowski jak wszyscy wielcy humaniści europejscy doby Renesansu ukształtował swoją umysłowość i swój niepospolity talent poetycki na głębokiej i rozległej znajomości kultury antyku. Winny szczerzej kultury zapragnął on przeszerścić na ojczystą glebę w jej surowym jeszcze klimacie — i ślad tego zamysłu odcisnął się na całej jego twórczości. Niejedną z utworów autora „Pieśni” i „Fraszek” jest tylko parafraza wierszy poetów starożytnych Grecji i Rzymu, roi się w nich od mitologicznych reminiscencji. Genialność wszakże czarnoleskiego mistrza sprawiła, że z owej antycznej rudy potrafił wytopić dzieło na wskroś własne, głęboko narodowe, że niesposób tu mówić o pospolitym naówczas, prostym jedynie naśladownictwie grecko-rzymskich wzorów. Bez trudu dostrzega to dzisiejszy czytelnik „nieprzepracowanych” — jak

„Fraszki” i „Pieśni”.

Tyle w nich rysów obyczajowych na wskroś polskich, tyle cech polskiego, narodowego charakteru, polskiego pejzażu, jak choćby w sławnej fraszce „Na lipę” czy w „Pieśni świętojańskiej o sobótce” — że w konsekwencji bez względu na takie czy inne reminiscencje klasyczne jest „Rzecz Czarnoleska” dziełem z gruntu polskim, narodowym.

Przede wszystkim jednak głęboko narodowym przez jego język dobytej z samych trzewi najrdzenniejszej polszczyzny.

I jeszcze jedna sprawa. Terminatorstwo Kochanowskiego u wielkich mistrzów poezji Hellady i antycznego Rzymu, zawarta przez niego znajomość z budzącą się do życia w dobie Odrodzenia młodą narodową poezją Italii i Francji przyniosły — i tu zasługa Kochanowskiego ogromna — niesłychane wzbogacenie dość ubogich dotąd form polskiego wiersza i w ogóle naszego piśmiennictwa.

Bogactwo wersyfikacji Kochanowskiego budził podziw i dzisiaj jeszcze po czterech stuleciach rozwoju naszej literatury pięknej.

I dzisiaj jeszcze niesposób oprzeć się urzekającej urodzie owego chóru z „Odprowa posłów greckich”:

O, białoskrzydła morska ptawczko, Wychowanico idy wysokiej, Łodzi bukowa, któraś gładkiej Twarzy pasterza Przemyskiego Mokrymi stonach wód ślezkami Do przezroczytych Eurotowych Brodów nosiła! Cóżto zobowiem za bratowa, Cóżom szlachetnym Przemowym, Cnej Poliksenie i Kasandrze Wieszczej przymiosa? Za którą oto w tropy prosto, Jako za zbiegłą niewolnicą, Prędką pogonia przybieżała?...

„Nie wiem jako to w polskim języku brzmieć będzie” — pisał Kochanowski do Jana Zamoyskiego, przesyłając mu „Odprowa posłów greckich”. Świadomy swoich celów artysta zdawał sobie sprawę z trudności i wagi podjętego zamierzenia.

Z pełną świadomością podjął wielki trud bogactwa ubożutkiej jeszcze, zaledwie dobiegającej się z powojaków polskiej sztuki poetyckiej. Wytwarła kład szerokie fundamenty pod jej przyszły, wspaniały rozwój. I doprawdy trudno dzisiaj — wydaje mi się — odważyć, ile było w Kochanowskim rzeczywistej żarliwości religijnej, a ile czysto-artystycznej ambicji ujarznienia dla potrzeb sztuki poetyckiej surowej, opornej jeszcze, grubej i krnąbrnej ówczesnej polszczyzny, gdy podejmował on pracę nad parafrazą „Psalterza Dawidów”.

Czy przez to chcę sugerować, że czarnoleski, renesansowy mistrz holdował jakiejś „sztuce dla sztuki”, że uwodziło go piękno dla samego piękna. Bynajmniej. Chęć tylko zwrócić uwagę na niewątpliwą pianowość jego artystycznej roboty. I pełną świadomość celów, jakie przed sobą stawiał.

Komu wydają się ryzykowne te twierdzenia, niechaj przypomni sobie, że to w dedykacji poprzedzającej „Psalterz”, a nie gdzieś indziej, pisze Kochanowski o owym wdarciu się na skałę pięknej Kaliopy, „gdzie dotychczas nie było znaku polskiej stopy”.

Nie brźmi to przecież jak wyznanie pokornej syna kęćciola, oddającego biskupowi krakowskiemu w holdzie przetłumaczony przez siebie psalterz. O nie!...

Przemówiła tu tylko дума trłum-fującego sztukmistrza pewnego już swego niedościgłego kunsztu.

Współczesny poeta polski, rozczytuja się w Kochanowskim, niejednemu może się jeszcze nauczyć od tego wirtuozu poetyckiego słowa. Przede wszystkim wszakże, zgłębiając „Rzecz Czarnoleska” i ślęcząc za rozwojem twórczości fundatora naszej narodowej poezji, może się nauczyć, i powinien się nauczyć, jak w swojej epoce winno się swoim trudem służyć swemu narodowi i ludzkości. Współczesny czytelnik, czytając dzieła Jana Kochanowskiego, odkryje, że „Rzecz Czarnoleska” — to nie tylko obowiązująca młodzież szkolna lektura, ale wciąż żywe, krwawo-liczne źródło najlepszych przeżyć i wzruszeń. I będzie to radosne dlań odkrycie. I zarazem najhonorniejsza zapłata dla poety za jego „czule nocy”.

Stanisław R. Dobrowolski

O NIEKTÓRYCH ZAGADNIENIACH TEMATYKI WSPÓŁCZESNEJ W NASZEJ PROZIE 1950-1952

(c. d. ze str. 1-ej).

Ażby sprawić dodać dramatyzmu, autor każe mu się zakochać w wychowawcy najgorszego kulaka wioskowego.

I postać powieściowa, i konflikt służą m.in. po to, by utworowi dodać atrakcyjności, by czytelnik mógł przeżyć się, wzruszyć, czytając ten utwór. Konflikt miłosny jest znakomitym odwiecznym sposobem wywołania takich wzruszeń.

Ale, by wzruszenie wywołać, autor musi zainteresować czytelnika swoimi postaciami, musi je jakoś pokazać.

Cóż my wiemy o Stefce, narzeczonej — i później żonie wahającego się środnika Klimka?

Nazywa się Stefania Momot. Jest bratanicą kulaka.

Ale ten kulak z ułnował jej rodziców, hitlerowcy zas ien rozstrzelali za ukrywanie partyzantów.

I to wszystko. Autor ukazuje perypetie swego Klimka, jego wahań, reakcje towarzyszy Klimka na to małżeństwo, stwarza dramatyczne sytuacje i przez cały ten czas o osobie, która rozkochała w sobie bohatera, powodując przez to całą tę kaszę — nie wiemy nic poza powyższymi, ankietywnymi zaskandami. Raz — zdaje się — mignie gdzieś w powieści, że ma czarne oczy.

Jeżeli nie łatwo jest dać wyczerpującą definicję „pogłębionej” postaci powieściowej, to nie trudno ukazać przykład, czym jest postać powieściowa. Taką Stefania Momot jest klasycznym przykładem groźnego zjawiska nieodróżnienia przez pisarza dwóch tak krainowo różnych zjawisk życiowych — jak powieściowa postać i dane z ankiety biura Personalnego, ograniczone zresztą do rubryk: „pochodzenie społeczne” i „zawód rodziców”.

Takich Stefani Momotów wiele się baka na stronach naszych powieści. Zamiast ludzi — parady ankiety personalne. Cóż dziwnego. Ście powieści, gdzie działają, kochają się i walczą ze sobą takie ankiety — nie wywołują u czytelnika zachwyty.

CHODZI O PROCES ROZWOJU

„Autonomia psychologiczna”, o której wspominałem, nie oznacza, rzecz prosta, że zakładamy niezmienną charakteru ludzkiego. Na oawort, jednym z najważniejszych tematów powieściowców naszej rzeczywistości — jest właśnie wyrastanie nowego człowieka, więc trudny, bolesny czasem proces wyzbywania się pewnych cech mieszczańskich, które kapitalizm wyrabiał nie tylko przeciętne burżuazyjne i inteligentów burżuazyjnych.

Wydaje się, że popełniamy często przy tym temacie dwa błędy.

Jeden — to, jak wspominałem, spóźność bohatera pozytywnego. Gdyby wierzyć niektórym naszym powieściom, trzeba by przyjąć, że istnieje w naszym kraju pewna, odmienna z gruntu od reszty, kategoria ludzi nieomylnych i bezgrzesznych, którzy na ziemię przysli — jak Mierwa — cd raz w stanie pełnej dożyłości politycznej i moralnej.

Takie traktowanie bohatera pozytywnego z góry ogranicza jego zdolność przekonywania czytelnika. Przekonywający, porywający — nie jest od razu dany ideal — ale proces wyrastania zwyczajnego człowieka na bohatera. Proces ten musi być uzasadniony i ukazany w czasie, w postaci charakteru przyzwoitego bohatera i — zwłaszcza — oddziaływaniem na niego środowiska i pracy.

Jeden z najpiękniejszych bohaterów pozytywnych literatury współczesnej, Pawka Korczagin, wcale nie zaczął od świadomego bohaterstwa. Właśnie dzieje jego doskonalenia się decydują nie tylko o wartości wychowawczej książki Ostrowskiego, ale i o subtelniejszej stronie jej atrakcyjności.

Drugi błąd, który nas zbliża do następnego elementu powieściowego, do konfliktu — to metoda ukazania przełomu w charakterze.

Przełom charakteru — zdawałoby się — jest momentem szczególnego napięcia i nadaje się na jądro tematyczne, dajmy na to, noweli. Możemy wymienić niejedno arcydzieło naszej noweli, które budowane jest właśnie na takim przełomie, choćby Prusowa „Katarynka”. Także i w powieści taki moment pozwala rozwiązywać ważne elementy tematu.

UCIECZKA OD KONFLIKTU

Tymczasem spotykamy w naszej twórczości powieściowej wiele wypadków, gdzie właśnie przełom charakteru jest pominięty. Zrazu bohater jest taki, a potem od razu owaki. Dlaczego? Skąd ta przemiana? Nie wiadomo.

Konflikt, którego jedną z prostszych form jest właśnie przełom charakteru, należy do starych punktów naszej twórczości nie tylko powieściowej.

Konflikt dodaje utworowi dynamizm, wywołuje wzruszenie, angażuje uczuciowo czytelnika, sprawia wreszcie, że utwór staje się atrakcyjny.

Otóż wielu naszych literatów i poetów boi się ukazania konfliktu, albo czyni to w sposób rażąco nieporadny.

Najprostszą formą konfliktu jest kontrast. Przykładem szczęśliwego zastosowania kontrastu w wierszu — jest „Sierpień” Wiktora Woroszyńskiego. Poeta w pierwszej części utworu ukazuje plany amerykańskie podporządkowania Polski przez „dobrych”, „komunistów” typu Górnolowskiego. Na te plany wyrasta historyczne znaczenie sierpniowego plenum, wyrasta bohaterstwo partii i wielkość towarzysza Bieruta

Ileż jednak mamy wierszy, artykułów publicystycznych, czy nawet opowiadań i powieści, gdzie autorzy, dla ukazania wielkości tego czy innego naszego sukcesu, po prostu nagromadzają superlatywy i dmą w monotonne fanfary myśląc, że w ten sposób wywołają entuzjazm czytelnika.

Tak nieporadny dramatyzm ludzi się, że wywoła wesołość na widowni, jeżeli postaci na scenie będą pokładały się ze śmiechem.

W jednym z opowiadań Stanisława Kowalewskiego ze zbioru „Walka klas” dojrzała konflikt między kierownikiem fabryki i władzami centralnymi, które chcą ograniczyć jej produkcję. Autor opowiadać nawiedza te fabrykę, starannie unikając trafienia na drastyczną scenę, aż doczeka się takiej uwagi od jednej z postaci opowiadania:

„Załowam, że pana tu nie było... Dramat dojrzał do punktu kulminacyjnego...”

My też żałujemy. Chętnie byśmy posłuchali tego dramatu, zamiast wierzeli autorowi na słowo.

ROZŁADOWANIE NAPIĘCIA

Często autor nie ucieka wprawdzie przed konfliktem, ale przygotowuje go w taki sposób, że napięcie dramatyczne opada. Elementarnym tego przykładem jest wprowadzenie do utworu postaci z doczepioną „charakterystyką”, jak to jest z Kawecim czy Seydą w „Penicylinie” Jankiewiczza.

W „Gorących dniach” Nizurskiego przy pierwszym swoim pojawieniu się „ksiądz-patriota” Szczotka — a) zapytuje, czy bohater podpisał apel sztokholmski, b) przepytuje go z katechizmu, c) — uprzedza, że Woś, członek spółdzielni produkcyjnej, jest człowiekiem niepewnym. Zebymy już nie mieli żadnych niespodzianek do nieodległego Wosia — bohater zaraz potem przyłapuje Wosia u kulaka Momota, gdzie ten zdradza reperuje chomato!

Powstaje w ten sposób osobliwa sytuacja, kiedy czytelnik z góry wszystko wie o niemyślnych planach wrogów spółdzielni i jest zmuszony jeszcze przez sto-kilkadziesiąt stronnie obserwować nieporadność i brak czujności aktyw spółdzielni, który w żaden sposób nie może zdemsakować i Wosia, i jego planów. Podobnie

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Bibliotekarz a problem czytelnictwa

85 tysięcy bibliotek z księgozbiorem 55 mln. tomów, 2,3 tomu na jednego mieszkańca. Jedna biblioteka na 2.800 mieszkańców.

Drugie miejsce po Związku Radzieckim w skali światowej. Oto, czym jest dzisiaj front biblioteczny. Ta skala organizacyjna określa również siłę jego oddziaływania. Role, zadania i obowiązki w państwie.

Lecz nie tylko dane liczbowe mówią o znaczeniu bibliotekarstwa i czytelnictwa w Polsce Ludowej. Bibliotekarze należą dzisiaj do pracowników naddobrych, do tych, którzy czynnie uczestniczą w kształtowaniu świadomości ludzkiej, świadomości nowego, socjalistycznego narodu.

W ten sposób bibliotekarstwo nasze jest jednym z najważniejszych czynników, którymi Państwo Ludowe posługuje się w swojej wielkiej pracy wychowania nowego człowieka, w przeprowadzaniu wielkiej rewolucji kulturalnej.

Obecnie przypada w Polsce 2,3 tomu na 1 mieszkańca, a na wsi, jeżeli uwzględnimy biblioteki szkolne i ZSCh (bez PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych) — 1 tom na 1 mieszkańca.

W ten sposób na 1 bibliotekę przypada średnio 2.800 mieszkańców. Jesteśmy więc na 2 miejscu w skali światowej po ZSRR, w którym przypada 2.197 osób na bibliotekę, podczas gdy w Anglii 4.300 osób na bibliotekę.

✱ Poważnym doświadczeniem i wskazówką w organizacji naszego życia bibliotecznego są osiągnięcia i metody pracy bibliotecznej Związku Radzieckiego, który dokonał u siebie rzeczywiście, olbrzymiej rewolucji czytelnictwa na terenie wszystkich republik związkowych.

Ucząc się na doświadczeniach i osiągnięciach radzieckich, winniśmy jednak zdawać sobie z tego sprawę, że u nas podstawowym zagadnieniem, od którego rozwiązania zależy nasza cała przyszła praca, to problem kadr i problem organizacji czytelnictwa.

Zagadnienie kadr nie stoi u nas dobrze. Posiadamy wprawdzie kadry ideowe, ofiarne, kadry wielkiej pracy i poświęcenia, lecz są to kadry w ogromnej większości starsze wiekiem, cierpiące na ogromną blyność.

Kilka przykładów: w mieście Łodzi na 71 bibliotekarzy — do lat 25-ciu mamy 7-miu, powyżej lat 40-tu — 58.

Podobna sytuacja jest w Krakowie i nawet w Warszawie, w Inowrocławiu i woj. wrocławskim.

Natomiast mimo przeszklonych w latach 1946-51 w sieci bibliotek powszechnych 9.450 osób i na kursach konferencyjnych 21 tys. osób (nie mówiąc o absolwentach sieci szkoleniowej bibliotek szkolnych, zwią-

*) Fragmenty referatu wygłoszonego na Ogólnokrajowej Naradzie Bibliotekarzy.

autor przedstawia sprawę Slimaka i Churyisia. Wiemy o nich wszystko długo przedtem, nim autor zdecydował się wreszcie doprowadzić do „spięcia”. Powstaje oczywisty nonsens: spięcie spała na panewce.

Zamiast ze szczególną uwagą traktować najostrejsze, najbardziej dramatyczne momenty powieści — autorzy często zbywają je paru zdaniem: w tejże powieści tak przedstawiony jest przełom w miejscowym kole Z.M.P.

Równie pobieżnie traktuje Roman Hussarski w „Nowym murze” przemianę się żalugi i przystąpienie jej do współzawodnictwa.

Mogliśmy mnożyć przykłady niewłaściwego traktowania przez autorów dwóch decydujących elementów prozy powieściowej, postaci i konfliktu. Moglibyśmy również dyskutować, czy każdy z przykładów przeze mnie podanych jest trafny. Ale przecież nie chodzi nam o wyliczenie wszystkich potknięć i recenzowanie poszczególnych powieści.

Chodzi w tej chwili o stwierdzenie, że nasi pisarze często budują swoje utwory nieumiejętnie i przez to sami osabiają, ograniczają zdolność oddziaływania utworów na czytelników.

ZRODEŁA BŁĘDÓW

Wspomniałem poprzednio, że główną przyczyną schematyzmu — to słabość ideologiczna autora. Wydawać by się mogło, że sam sobie zaprzeczam, skoro po takim twierdzeniu przeprowadzam dłuższą analizę szeregu fragmentów powieściowych z punktu widzenia czysto artystycznego. Otóż postaram się udowodnić, że każdy z wyliczonych powyżej błędów wynika z niedostatecznego poznania społecznej i politycznej rzeczywistości naszego kraju i z interpretowania słabo znanych, źle rozumianych jej zjawisk przy pomocy zwulgarzowanych tez pseudo-„marksistowskich”.

CZYBY NIE BYŁO WALKI KLASOWEJ?

Jednym z najprostszych przykładów schematyzmu, polegającego na niedocenianiu ostrości walki klasowej, która u nas się toczy — jest omawiana już wielokrotnie powieść Mirosława Kowalewskiego: „Kampania znaczy walka”. Polityczne źródło

schematyzmu jest w tym wypadku wyraźne: autor umieszcza akcję powieści w jesieni 1948 r., więc nawet przed ofensywą w kierunku socjalizmu, a typ trudności i konfliktów, jakie się rozgrywają w powieści, pozwała się ludzi, że wróg klasowy jest już u nas złamany, że nieomal zbudowaliśmy już u siebie socjalizm.

Ten sam błąd popełnia Roman Hussarski w „Nowym murze”. Tu wprawdzie akcja rozgrywa się o dwa lata później, ale też próżno byśmy szukali w naszej najbliższej rzeczywistości tak sielankowego odzinka życia, jak opisana przez Hussarskiego budowa Przejrzysty pobieżnie postaci wrogów i typ konfliktów, występujących w powieści. Inżynier Sarat — kosmopolityczny architekt, który planuje formalistyczny dom wypoczynkowy dla robotników, bo cały żyje w nierealnym świecie architektury, jako sztuki dla sztuki. Majster Balamos, który nie jest tradycyjnym, Jego zastępca — niezdara i zawistnik. Pomagier zastępcy — drobny złodziejczek i kanciarz, cudownie uzdrowiony w trakcie współzawodnictwa. Studentka architektury — niedbale spełniająca swoje funkcje kreślarki. I starszuszka — powinowata bohatera, która marzy o znalezieniu skarbu w ghetcie. Reszta należy do świata bohaterów.

Oczywiście, daleki jestem od żądania wprowadzenia do każdej powieści postaci szpiegów i dywersantów. Oczywiście, ukazywanie konfliktów nieantagonistycznych — jest potrzebne i słusze, bo elementy socjalizmu w naszym kraju rosną z dnia na dzień i grają coraz większą rolę. Ale od powieści współczesnej winniśmy żądać, by ukazywała nasze życie dzisiejsze w całej jego ostrości. Powieść, która izoluje wyspki życia socjalistycznego, rosnące w dzisiejszej Polsce, od całokształtu naszej rzeczywistości — nie może odegrać prawdziwej roli wychowawczej, nie pomoże naszym aktywistom, nie ostrzeże przed wrogiem, nie zahartuje do przewyżczenia trudności, które mamy i które mieć jeszcze będziemy.

Długo powieści typu „Kampania znaczy walka”, czy „Nowy mur” — trzeba uznać za poważnie obciążone błędami politycznymi niedostrzeżaniami u nas walki klasowej.

kadr. pracy z nimi prac. kadr bibliotecznych z czytelnikiem.

Zasadniczą słabą stroną naszej pracy z czytelnikiem był brak ścisłej analizy samego zjawiska czytelnictwa. Kto czyta, co czyta, dlaczego to, a nie co innego czyta? Analiza środowisk. Analiza reakcji czytelników różnych grup społecznych. Analiza metod pracy z czytelnikiem. Dane nasze w tych sprawach posiadają charakter wykładowy i nie nadają się jeszcze na jakieś generalne uogólnienie. Mimo to jednak nawet posiadane przez nas dane ułamkowe dają dużo materiału dyskusyjnego.

Pierwszy bezsporny fakt, jaki się rzuca w oczy, to fakt przewagi w masie czytelniczej — młodzieży. I to młodzieży szkolnej. Poza pewną stałą warstwą inteligencji i aktywno robotniczego i wiejskiego, nie potrafiliśmy przedstawić, jak dotąd, do fabryki i do gromady wiejskiej. Nie potrafiliśmy zdobyć szerokiego, masowego czytelnika. 6-8 proc. korzystających z naszych książek, to cyfra bardzo mała i bardzo daleko pozostająca za naszymi możliwościami, czego najlepszym jest dowodem, że w wyniku współzawodnictwa, zorganizowanego przez Centralny Zarząd Bibliotek, woj. szczecińskie mogło podnieść procent czytających do 16,5 proc., a w niektórych województwach procent ten również przewyższył 10 proc., co świadczy o wielkiej chłonności odbiorcy, jeżeli tylko potrafimy przejść na nowe formy organizacji czytelnictwa.

Nie potrafiliśmy też dotąd iść równoległe z rosnącymi potrzebami nowego socjalistycznego przemysłu i dokonywającej się na wsi rewolucji. Kontrola świetlic i punktów bibliotecznych w hotelach robotniczych nowych miast i osiedli fabrycznych wykazała zastraszający stan zainteresowania się książką i zastraszające niedoleństwo w próbach dotarcia z książką do czytelnika. W hotelu robotniczym w mieście Tychy, gdzie mieszka wyłącznie młodzież, z biblioteki świetlicowej w ciągu ostatnich trzech miesięcy skorzystały dosłownie trzy osoby. Trzy osoby, które wywołałyby trzy książki. Niewiele lepiej jest gdzie indziej. A jeżeli my nie pracujemy wśród młodzieży z książką, czy biletem do teatru lub kina, to grasuje wśród nich wódka, karty i chuligaństwo.

Zle i niedostatecznie pracujemy z czytelnikiem. Ofiarą pracy poszczególnych bibliotekarzy, ich odkrywczość oraz wielkie wyniki ich pracy stały się jeszcze zjawiskiem masowym. Nie pracujemy z książką i nad książką, nie popularyzujemy książki wśród mas czytelniczych. Nie organizujemy konferencji czytelniczych bezpośrednio w fabrykach i w miejscach pracy, a po konferencji nie „dzemy” do tychże miejsc pracy z ruchomymi punktami bibliotecznymi.

Wycinkowa ankieta czytelnictwa wykazała, że o ile jeszcze czytana

Ale ten typ błędu, łatwy do wykrycia, nie należy do najpospolitszych.

TYPOWOŚĆ A PRZYNALEŻNOŚĆ KLASOWA

O wiele częściej spotykamy objawy innego błędu, trudniejszego do uchwycenia i przez to bardziej niebezpiecznego. Wypływa on z fałszywego pojmowania zasady typowości.

Cytowałem parę przykładów „ankietowej” budowy postaci powieściowej. Jeżeli zastanowimy się nad przyczynami tego niepożądanego zjawiska, dojdziemy do wniosku, że polegają one na nieodróżnieniu typowości psychologicznej od pochodzenia społecznego danej postaci.

Oczywiście, jeśli przeprowadzimy znak równości między tymi dwoma kategoriami, to będzie to oznaczało koniec literatury pięknej.

Na szczęście zaden z prawdziwych marksistów nie wysunie i nie może wysunąć podobnie absurdalnego hasła. Nawet w wypadkach, które cytowałem, nie ośmielę się twierdzić, że autorzy świadomie identyfikują pochodzenie społeczne z „typowością” tworzonych przez siebie postaci. Sądzę po prostu, że ulegają pewnemu megalomani, nie umieją zdać sobie sprawy ze skomplikowanej istoty powiązań klasowo-charakterowych.

Mechaniczne uzależnianie typu ludzkiego od jego pochodzenia społecznego i przynależności klasowej jest jednym z najdotkliwszych przejawów schematyzmu i świadczy o wulgarnym pojmowaniu przez autora elementarnych zasad marksizmu.

Typów ludzkich jest nieskończenie więcej, niż klas społecznych. Daleki jestem od twierdzenia, że przynależność klasowa nie wpływa na charakter człowieka. Na odwrót, w społeczeństwie, klasowym cała mechanika kapitalizmu nastawiona jest na deprawację charakterów ludzkich, łamanie ich, dostosowywanie do potrzeb klasy panującej. Deprawacja taka nie porzasta tylko na przedstawicieli burżuazji, sięga masy chłopskiej i nawet dociera do środowiska robotniczego.

Nie chciałbym również, by teza powyższa została zrozumiana jako żądanie ukazywania „ludzkiego oblicza” naszych wrogów klasowych. W polemikach na temat schematyz-

mu, jednocześnie z hasłami dodawania cech ujemnych bohaterowi, zadano „uczłowiaczania” wroga. Oczywiście nie o to chodzi, by pozytywny był nie całkiem biały, a negatywny — nie całkiem czarny.

Chodzi o to, aby autor pamiętał, że różne typy ludzkie zjawiają się w różnych klasach społecznych i że w jego autorskiej kompetencji leży takie zestawianie cech indywidualnych z klasowymi, by utworzył najpiękniejszą i w sposób najbardziej przekonujący tę treść społeczną, klasową, którą autor chciał w utworze pokazać.

Identyfikowanie typu z przynależnością klasową zwięza, zuboża możliwości pisarskie, ogranicza zasięg utworu, a więc jest szkodliwe.

Rozroznanie tych dwóch pojęć pozwala autorowi wyrazić pełniej rzeczywistość społeczną, daje mu do ręki zasób twórczych możliwości.

Niesobó i nie trzeba kodyfikować wszystkich wariantów zależności między charakterem ludzkim i klasą społeczną. Jeżeli nie byłoby słusze przedstawiać wroga tak, by wzbudził litość, to można sobie doskonale wyobrazić, że przedstawiciel wrogiej klasy, ukazany jako człowiek o osobistej uczciwości, tym silnie może wyrazić swoją szkodliwą społecznie rolę. Doskonalszym tego przykładem jest Chorzyniak z „Pieni nad wodami”, jak dowiodła tego tu, na tej sali, Wanda Wasilewska.

Czasem takie pomieszanie pojęć rozrasta się od postaci do konfliktu. W trzech powieściach: „Gorące dni”, „Ludzie zza rzeki” i „Wierzbowa o powieści” — mamy do czynienia z konfliktem miłosnym, nie tyle między chłopcem i dziewczyną, ile między biedniakiem i kulakazką. Bohaterka „Wierzbowej opowieści” na swoje usprawiedliwienie może przytoczyć, jeśli nie tragiczne losy swoich rodziców, to przynajmniej pochodzenie społeczne matki, zabranej przez kulaka z biedniackiej rodziny. Dochodzimy tu do pojęcia „poł krwi” biedniacki.

Te próby usprawiedliwienia za wszelką cenę (nie przemianami psychologicznymi, jakby przysłało na pisarza) paskudnej ankiety personalnej bohaterki pozwalają doszukać się w świadomości autorów elementów jakiegos — bo ja wiem? — kalwinińskiego determinizmu? Czyżby nie można było wyobrazić dziewczyny, nawet z kulackiej rodziny, która — choćby zrazu tylko z miłości — dostrzegła piękno i wielkość ludzkiej ideologii socjalizmu?

Mocny typ literacki może, oczywiście, symbolizować całą klasę społeczną. Znajdziemy np. u Gorkiego galerię postaci, reprezentujących rosyjskie mieszczaństwo, kulactwo, specyficznie rosyjskich, dorabiających się kapitalistów. Obraz literacki w takich wypadkach staje się naprawdę cennym elementem poznania życia. Pytanie: co to jest mieszczaństwo? Odpowiedź: Artamonow. Pytanie: co to jest inteligent-utopista? Odpowiedź: doktor Judym. I to jest dowód zwycięstwa pisarza Do wód dorzucenia przezeń istotnego szczegółu do świadomości społecznej. W takim wypadku literatura jest naprawdę twórczością.

Bo idzie od konkretno do uogólnienia!

Niestety, u nas częściej bywa na odwrót. Pytanie: co to jest Klimek? Odpowiedź: to wahający się średniak.

Myślę, że winniśmy szczególną uwagę poświęcić w ogóle zagadnieniu typowości — i postaci — i konfliktów — i tematów. Wydaje się bowiem, że w tej dziedzinie panuje u nas duże pomieszanie pojęć.

TYPOWOŚĆ — TO NIE STATYSTYCZNA PRZECIEKNOŚĆ

Zanalizujmy każdy dla siebie, co naszym zdaniem kryje się pod pojęciem typowości? Czy nie wypływnie przypadkiem pół-świadomione przekonanie, że typowość to w gruncie rzeczy statystyczna częstotliwość danego wypadku, postaci, cechy charakteru, zagadnienia? Te typowe to, co się częściej spotyka, niż co innego.

Jeśli tak jest — to znaczy nie przemysłiliśmy tego problemu, bo ujmujemy go mechanicznie, statycznie. Nic bardziej obcego duchowi realizmu socjalistycznego, niż opieranie pojęciem statystycznej wielkości wypadków. Właśnie takie złudzenie mogło doprowadzić poszczególnych dramaturgów radzieckich do błędnej i szkodliwej teorii bezkonfliktowości. Bo, oczywiście, jeżeli przyjmujemy, że typowe równa się najczęstszemu — będzie błędem ukazywać na scenie radzieckiej lizusa, rwacza czy innych pogrobowców kapitalizmu, którzy nie są najczęstsi, na odwrót — są dziś raczej wyjątkami.

Wydaje się, że pojęcie typowości polega na czymś całkiem innym. Typowe to jest to, co w danej sytuacji społecznej decyduje o powodzeniu, czy niepowodzeniu danej sprawy. To, co pomaga, to, co przeszkadza.

Dotyczy to zarówno postaci jak poszczególnych scen, wątków, konfliktów.

Natomiast wydaje mi się, że jeśli chodzi o temat — w ogóle nie można mówić o temacie typowym czy nietypowym. Każdy temat może być ujęty tak, że nabierze ważności. Nietypowe, nieważne, lub fałszywe może być tylko wykonanie, rozwiązanie tematu przez autora.

Uderzając w pewną cechę, wyrażoną najjaszawiej, w „nietypowej”, rzadkiej jednostce — uderzamy pośrednio w te cechy, którą inni posiadają także, ale w stopniu zbyt niskim, by można ją było przekonywająco ukazać.

I — żeby skończyć na razie z problemem typowości — zastanówmy się

nad „prawami autorskimi“ do tematu, do koncepcji. Wydaje mi się, że w tej dziedzinie autorowi przysługuje jak najdalej idąca swoboda. Jak wynalazca — może on pracować nad tym problemem, jaki go interesuje. I jak do wynalazcy nie można mieć pretensji, że wymyślił maszynę do robienia papierosów, a nie podkład międzyplanetarny, nie można autorowi zarzucać tego, czego nie chciał zrobić. Jedną tylko należy przyjąć płaszczyznę krytyki: czy koncepcję swoją słusznie autor rozwiązał, czy maszynka robi papierosy, czy samolot lata.

Takie traktowanie utworu przez krytykę oszczędzi nam sporo niepotrzebnych kwasów, kłopotów i niepowodzeń.

KONFLIKTY NIE ZANIKAJĄ

Jeżeli podzielimy omawiane utwory na tematykę „zaraz po wojnie“ i tematykę budownictwa socjalistycznego — zauważymy pewne bardzo charakterystyczne zjawisko. W pierwszej grupie znajdujemy ostre konflikty klasowe, dramatyczną walkę, chwilami aż jakby atmosferę wojny domowej. W drugiej — zwłaszcza w utworach o tematyce niewiejskiej — gwałtowność konfliktów spada. Przykładem niech będą wymieniane już powieści Mirosława Kowalewskiego, czy Hussarskiego, ale podobne zjawisko dostrzeżemy i w poezji, i w dramacie.

Odnosi się wrażenie, że nasi autorzy bez trudu znajdują elementy rewolucyjne w pierwszym powojennym okresie, że natomiast niejako widzą sytuację społeczno-polityczną w drugim okresie — w okresie budownictwa socjalistycznego. Zwycięstwo nad odchylem prawniczo-nacjonalistycznym jest — jak się zdaje — czasem rozumiane jako zbudowanie socjalizmu w naszym kraju.

Jeżeli jeszcze przyjmujemy się powszechnie istnienie walki klasowej na wsi, to w mieście, w środowisku robotniczym — jak się zdaje — zdaniem niektórych literatów walka klasowa właściwie została zakończona.

Nie chcę, rzecz prosta, generalizować takiego sądu, którego absurdalność jest oczywista. Celowo nawet wyolbrzymiam to zjawisko, by łatwiej mogło być poddane analizie i przewyższone. Z niego bowiem wynika następne z kolei źródło schematyzmu w naszej literaturze.

Zwycięstwo nad gomółkowszczyzną było zwycięstwem idei budownictwa socjalizmu, było przyspieszeniem wyrastania elementów socjalistycznych w naszym kraju, które zaczęły się tworzyć od razu po objęciu władzy przez P.K.W.N. Zwycięstwo to otwierało drogę do socjalizmu, czyli oznaczało ono, że wstępujemy w nowy okres walki klasowej, bardziej zawziętej niż dotąd, choć prowadzonej w innych warunkach i mającej mniej krwawy przebieg niż w latach zaraz po wojnie.

Jeśli dobrze rozumiemy te dosyć elementarne stwierdzenia — jak mogą powstawać powieści typu „Nowego muru“? Jak mamy tłumaczyć trudności w ukazywaniu konfliktów budownictwa socjalistycznego w środowisku robotniczym? Sądzę, że mamy tu do czynienia z bardzo charakterystycznym uproszczeniem pewnych podstawowych praw marksizmu-leninizmu.

Przypomnijmy sobie pewne zjawiska i nieporadności w ukazywaniu postaci powieściowych i zwłaszcza bohatera pozytywnego, o których była mowa poprzednio. Co oznacza tendencja do „ubrawowania“ takiego bohatera? Skąd się bierze lek przed ukazaniem przełomu psychologicznego i niechęć do ostrego, dramatycznych zbliżeń? Sądzę, że wszystkie te zjawiska posiadają to samo źródło.

Wydaje się, że wszystkie te błędy wypływają z nierozumienia tak podstawowej sprawy, jaką jest proces rozwoju świadomości ludzkiej.

Naród nasz, na czele ze swoją bohaterską klasą robotniczą, od blisko lat ośmiu przeżywa najgwałtowniejszą przemianę swoich dziejów, staje się narodem socjalistycznym. Czy decydująca siła tej przemiany, klasa robotnicza, po zapoznaniu się z uchwalamy przed paru laty planem sześciolowym, planem budowy podstaw socjalizmu — uzyskała przez to jako całość socjalistyczną świadomość?

Gdyby można było zmieniać świadomość mas społecznych przez najmądrzejsze, najsumienniejsze nawet artykuły, czy przemówienia — jak dziecinnie łatwym zadaniem stałaby się budowa socjalizmu!

Naród nasz, na czele ze swoją klasą robotniczą — budując hutę stali, rozszerzając produkcję węgla, tworząc centrale elektryczne — słowem, stwarzając bazę techniczną, bazę materialną socjalizmu — stwarza w toku tej pracy elementy swojej socjalistycznej świadomości.

Budując materialną bazę socjalizmu w naszym kraju, budujemy socjalistyczną świadomość w naszych duszach.

Oczywiście, proces narastania tej świadomości jest nierównomierny. Tak jak klasa robotnicza w swej całości reprezentowała i reprezentuje ogólny poziom świadomości wyższy od innych klas społecznych — tak w jej łonie istniał i istnieje, rozszerza się aktywny, który już dzisiaj posiada świadomość socjalistyczną.

Ala najbardziej nawet świadomości aktywista, działacz partyjny, który do Polski Ludowej przyszedł z bogatym doświadczeniem walki rewolucyjnej, opanowaniem teorii marksistowską i znając problemy budownictwa socjalistycznego w Związku Radzieckim — także przecieć przez te osiem lat musiał się niejednemu nauczyć, niejedno zrozumieć, niejedną trudność przeżyć.

Bo — po pierwsze — nie miał osobistego doświadczenia w budowie

władzy państwowej, w kierowaniu tym czy innym odcinkiem dużego Państwa; po drugie — musiał pracować w konkretnych nieopartych warunkach historycznych i swoją wiedzę, swoje doświadczenie musiał do nich dopasowywać.

Czyli musiał pokonywać trudności, musiał się uczyć, musiał wyrastać.

Nasi spóźnieni bohaterzy pozytywni nie dlatego są źli, nieprzekonywający, że nie mają dziobatych twarzy, nie piją wódki, nie biegają za kobietami — tylko dlatego, że autor ukazuje ich często w postaci wszechwiedzących i nieomylnych nadludzi, spełniających czasem po prostu rolę deus ex machina antycznej tragedii.

Taka metoda nie tylko łamie kanony twórczości literackiej, zamazuje konflikty, pozbawia postać bohatera atrakcyjności, jest także nieprawdziwa, zakłamuje rzeczywistość.

Jeżeli bohaterowi pozytywnemu poniekąd pisarze przynajmniej tę wszechwiedzę z góry, to wobec reszty postaci są oni również niezbyt wymagający.

Kluczową sceną niejednej z naszych powieści czy nowel — jest zebranie. Zazwyczaj bywa tak, że w spóźnie, czy w fabryce są jakieś trudności. Na zebraniu, zwołanym dla pokonania tych trudności, okazuje się, że działa grupa wrogów, a masa jest niezdeterminowana i nieświadoma. I wtedy właśnie znajduje się ktoś taki mądry, który wrogów demaskuje, nieświadomym uświadamia i trudności pokonuje.

Autor, który wierzy w taką uduchowiającą funkcję zebrania, winien pamiętać o jednej zasadzie. Marksizm nie jest prawdą objawioną, którą wystarczy poznać, aby dostąpić łaski wyższego wtajemniczenia. Jest on metodą poznawania rzeczywistości w celu jej rewolucyjnego przestawienia. Poznać marksizm — to znaczy nauczyć się działać.

Dopiero działanie, praca — poprzez osobiste doświadczenie — zmienia świadomość ludzką, podnosi ją na wyższy szczebel. Zebranie może i powinno grać rolę przełomową w utworze wtedy, gdy bohater zaczyna na nim uświadamiać sobie sens już przeżytych, osobistych doświadczeń, zaczyna je uogólniać. I ten mądry, który oczy otwiera rzeźcie — uczynić to może tylko wtedy, jeżeli w swoim przemówieniu potrafi do tych osobistych doświadczeń słuchaczy jakoś się odwołać.

Można mieć różne zastrzeżenia do świeżo wydanej powieści Kazimierza Koźmiewskiego — „Piątka z ulicy Barskiej“. Ukazał on jednak — w sposób moim zdaniem przekonujący i słuszny — rolę właśnie osobistego doświadczenia w zmianie świadomości. Kłopotów, którzy wrogo odnosili się do naszej rzeczywistości — trafiwszy na pracę, która ich zainteresowała i dała możliwości rozwoju — zaczynają, zrazu wbrew swej woli, zmieniać stosunek do Polski Ludowej, zaczynają zmieniać się i wyrastać razem ze wzrostem elementów socjalistycznych naszego kraju.

TRZY ŹRÓDŁA SCHEMATYZMU

Podsumujmy więc wyniki analizy elementów schematyzmu. Spróbujmy najwięcej określić, z czego się bierze, czym jest schematyzm i jakie szkody nam przynosi.

Zaryzykowałbym, że są trzy źródła schematyzmu.

Po pierwsze to, o którym pisali już u nas niektórzy krytycy, np. Flaśen.

Bezsprzecznie, pewne elementy schematyzmu wynikają po prostu z pośpiechu, niechlujstwa, z braku wyrobienia literackiego, z lekceważenia formy artystycznej.

Sądzę, że praktycznie najgroźniejsze z tego jest lekceważenie atrakcyjności utworu. Najszkodliwsze nawet politycznie dzieło literackie nie spełni swego zadania, jeśli będzie napisane niechlujnie i nudno. Po prostu dlatego, że nikt nie będzie chciał go czytać. I żadnym administracyjnym nakazem nie będziemy mogli nikogo do tego zmusić.

Sprawa talentu nie jest w ogóle bez znaczenia przy omawianiu schematyzmu. Byłoby jednak niesłuszne sprowadzać wszystkie jego objawy do stopnia uzdolnienia autora. Jeżeli najjaskrawsze przykłady schematyzmu znajdujemy na ogół w utworach słabszych, to wynikają one jednak z przyczyn, dających się uogólnić na szereg dzieł bezsprzecznie wartościowych.

Jeżeli poprzestaniemy na tej estetycznej płaszczyźnie wyjaśnienia schematyzmu — oczywiście, choroba tej nie ulecymy, kto wie, czy nawet jej nie spęgujemy.

Drugim źródłem schematyzmu jest ciągle jeszcze niedostateczna znajomość naszego konkretnego życia społecznego.

Mimo dużych postępów w tej dziedzinie, byłoby kardynalnym błędem twierdzić, że literaci nasi znają dobrze cały rozmach naszego życia. Po pierwsze — bo nie wszyscy w ogóle mieli już okazję bliżej z nim się zetknąć, po drugie — bo tempo naszego życia jest bardzo szybkie i ten, kto był dwa lata temu np. w spółdzielni produkcyjnej — w tym roku już by jej nie poznał.

Trzecim źródłem schematyzmu jest nierozumienie procesów naszego życia, wynikające ze słabości natury ideologicznej.

Ideologiczną treść schematyzmu sprowadza się do wulgarnego socjologizmu w traktowaniu postaci powieściowej i do mechanistycznego, niądialektycznego ukazywania procesów rozwojowych naszej rzeczywistości.

Oba zjawiska nie są nowe. Analogiczne do nich zbliżenia zdarzały się w dziełach literatury radzieckiej, zwłaszcza w końcu lat dwudziestych i w okresie pierwszej pię-

ciolatki, więc w zbliżonych do nas warunkach polityczno-społecznych.

Przypomnijmy sobie klasyczne przykłady wulgarnego socjologizmu, np. w teorii literatury, które się podówczas zdarzały. Któryś z takich wulgarnych socjologów w swoim czasie próbował określić Lermontowa jako produkt rozkładu drobno-szlacheckiego w warunkach wzmożonej penetracji kapitalizmu, w schyłkowym układzie pańszczyźnianym. Czyż nie uderza w tym — nie dośownie cytowanym — przykładzie pewna zbieżność z naszymi Stefkami Momotównami? I tu, i tam widzimy mianowicie tendencję tłumaczenia jednostkowych, niepowtarzalnych wypadków bezpośrednio przyczynami „społecznymi“, z pominięciem tak ważnego elementu jak osobowość ludzka?

Ze odgłosy wulgarnego socjologizmu zdarzają się i teraz — świadczą recenzja Zorina z powieści Wilisa Eacisa, słusznie napiętnowana przez grupę czytelników w „Prawdzie“.

Dodajmy nawiasem, że schematyzm nie jest chorobą wyłącznie tematyki współczesnej. Znajdziemy jego objawy i w pewnych utworach historycznych. Stosunek zaś niektórych naszych krytyków do literatury dwudziestolecia, a zwłaszcza do nurtu spóźnionego realizmu krytycznego, nosi na sobie jaskrawe piętno właśnie wulgarnego socjologizmu i niądialektycznego, antyhistorycznego traktowania naszej niedawnej przeszłości literackiej.

Wreszcie trzeba stwierdzić, że zbliżone do naszych kłopoty ze schematyzmem przeżywają niektóre inne literatury bratnich demokracji ludowych. Już przed rokiem zjazd pisarzy węgierskich sprawie tej poświęcił sporo uwagi. Dlatego niesłusznie byłoby lekceważenie jej i przemilczanie.

Niesłuszne także byłoby jej wyolbrzymianie. Schematyzm nie stał się u nas kierunkiem dominującym. Jego elementy w poszczególnych utworach nie zostały przez nikogo skodyfikowane w jakiś program literacki.

Nie ma u nas ani jednego krytyka, czy pisarza, który by podjął teoretycznego uzasadnienia schematyzmu i jego obrony. Innymi słowy — choroba ta nie zdążyła się u nas rozwinąć. Objawy jej zostały dosyć szybko spostrzeżone. Miejmy nadzieję, że obecne nasze narady staną się jej końcem.

Ten łagodny niejako przebieg schematyzmu mamy do zawiązania w pierwszym rzędzie Związku Radzieckiemu, gdzie zwłaszcza wulgarny socjologizm przybierał w swoim czasie natężenie większe, gdzie też dawno naucono się z nim walczyć. Ostatnia dyskusja o bezkonfliktowości w dramaturgii — przy wszystkich różnicach sytuacji społecznej w naszym kraju — daje nam niezmiernie cenne wskazówki teoretyczne i praktyczne. Bez niej zjawisko schematyzmu mogłoby przedłużyć się u nas i przynieść nam szkody dotkliwsze.

W „Początku opowieści“ Mariana Brandysa znajdujemy taką sytuację. Nowa Huta dopiero się zaczyna. Brakuje rąk do pracy. W całej Polsce lokalne organizacje ZMP rozpoczynają zaciąg młodzieżowy.

Brandys mówi, że były dwa podejścia do tej, nad wyraz ważnej, sprawy. Niektórzy zarządy powiatowe mówili: musicie jechać na Nową Hutę. Będzie wam ciężko. Miałoby się dopiero rodzić na początku bałaganu. Ale od zbudowania Nowej Huty zależy przyszłość Polski. Razem zaś z Nową Hutą i wy wyróżnicie, zdobędziecie nowe kwalifikacje, stamencie się ludźmi.

Inne zarządy powiatowe mówiły: jedźcie na Nową Hutę. Ogromne miasto. Ludzi rozchwytują. Zostaniecie majstrami, będziecie się uczyć na techników, inżynierów. Dajęz wam mieszkanie z łazienkami i radiem.

I te, i tamte zarządy miały powodzenie. Młodzież zjeżdżała tłumnie. Ale zaraz na początku wybuchły wśród niej awantury, kwasy, zale. Część nie zostawała, czekała po paru dniach.

Kto uciekał? Ci, którzy spodziewali się trudności, ale rozumieeli wielkość zadania, czy ci, którzy liczyli na wygodę i ułatwienia?

Trudno o lepszy przykład szkodliwości politycznej dzieła, które — jak niemądre zarządy powiatowe — zamiast ukazania prawdy naszej rzeczywistości, próbuje zwabić czytelnika do ideologii socjalizmu przez nagromadzenie tanich efektów, przez przemilczanie istotnych i nieodłącznych od wielkiego budownictwa trudności. Niedialektyczne ujmowanie naszej rzeczywistości, nierozumienie decydującej roli pracy dla zmiany świadomości, dla wyrastania człowieka, niewiedzenie szerokiej perspektywy historycznej naszych przemian, ale uganianie się za doraźnymi, łatwymi, nietrwałymi, czasem zgola urojonymi sukcesami — to znaczy lukrowanie, to znaczy — zakłamywanie wielkiej prawdy naszych dni — nie wywoła entuzjazmu dla idei przebudowy socjalistycznej naszego kraju, nie wychowa nikogo, nie zahartuje. Dzieło tak napisane jest martwe, więc szkodliwe.

Niestety, ileż razy obserwować musimy — w nawet niezłym skąd inąd utworze — brak rozmachu, brak ukazania historycznej, wielkiej perspektywy naszego budownictwa, zastąpionych właśnie doraźnym lukrem tanich i naciąganych „happy endów“. W tym względzie literatura radziecka pierwszej pięciolatki, czy obecne powieści z wielkich budów komunizmu — są ciągle dla nas niedostępnym wzorem.

Wiemy wszyscy, że rola literatury w nowym ustroju wzrosła ogromnie; przejawia się to m. in. w nacisku różnych instytucji, które żądają utworów literackich na ich resortowe niejako tematy. Wojosko chcieliśmy książek o wojsku, młodzież — o młodzieży, działacze wiejszy — o wsi, liga kobiet — o kobietach. Czemu?

Dlatego że utwór literacki posiada zdolność głębszego i trwalszego oddziaływania na świadomość ludzką niż jakakolwiek inna forma pisana — poza filmem fabularnym, który zresztą bez scenariusza literackiego jest nie do pomyslenia.

Na czym polega ta specyfika oddziaływania utworu literackiego?

Przypomnijmy sobie to, cośmy mówili o roli pracy w zmianie świadomości ludzkiej. Oznacza ona, że decydującym elementem tej zmiany jest, uzyskanie w toku pracy, osobiste, życiowe doświadczenie. Ażebym się zmieniła świadomość, trzeba zapracować, przeżyć czynnie kawałek swego życia.

Otóż siła oddziaływania dobrego utworu literackiego polega właśnie na tym, że poprzez losy stworzonej przez siebie postaci powieściowej, poprzez jej osobiste doświadczenie, przekazuje on czytelnikowi jakby namiastkę doświadczenia życiowego, którego ten czytelnik w swoim życiu jeszcze nie zyskał.

Mówi się, że czytając dobrą powieść, żyjemy życiem jej bohaterów. To znaczy — przeżywamy to, co oni już przeżyli. To znaczy zyskujemy nowe doświadczenie życiowe. To znaczy zmieniamy w jakiejś mierze swoją świadomość.

Poprzez dzieje postaci literackich (czy obraz wizerowania — w wierszu lirycznym) — odbiorca utworu w skrócie i w przyspieszeniu wzboga swoją świadomość, kształtuje niejako na wyrost swoją duszę.

Taki sens ma, moim zdaniem, genialna formuła Stalina o inżynierach dusz ludzkich.

Stąd ogromne znaczenie prozy powieściowej, dramatu, czy filmu (i bzdurność też wulgarnych socjologów o zmierzchu powieści, jako rzekomo „burżuazyjnego“ rodzaju literackiego). Stąd ogromne znaczenie psychologicznej autonomii postaci, logiki jej losów, skończoności jej charakteru.

I to wyjaśnia od razu polityczną treść błędu „papierowości“, ankietyzacji niektórych postaci, blakających się na stronach naszych książek, czy scenach naszych teatrów. Postaci takie nie kształtują świadomości odbiorcy, bo nie żyje on ich życiem, nie wierzy w ich życiową możliwość.

Tym groźniejszy jest ten błąd, jeśli — jak często się zdarza — dotyczy on bohatera pozytywnego. Bohater naszych czasów — to budowniczy socjalizmu, który wyrasta dookoła nas w trudzie i w walce. Ukazując go tak, by porwał czytelnika — to znaczy przyspieszyć kształtowanie się świadomości socjalistycznej

IGOR NEWERLY

Do Bibliotekarzy*

Znamy się dobrze. Pamiętamy przysługę, jakie nam wyświadczacie, gdy piszemy, gdy szukamy po bibliotekach materiałów, a gdy kończymy, to rzecz najdroższą, książkę naszą, odgajemy w wasze ręce i wtedy wy ją ludziom ukazujecie, tłumacząc, co w niej prawdziwe, co dobre i nieraz przecieć nas przed czytelnikami usprawiedliwiacie, że mimo wszystko ma ona jednak te czy inne zalety — za to wszystko, drodzy doradcy i popularyzatorzy, przyjmijcie serdeczne podziękowanie.

Tysiąc razy, w dniach świąt ludowycy i w ramach masowych akcji kulturalnych, występowałam wspólnie, tysiąc razy spotykaliśmy się na wieczorach autorskich, organizowanych przez was bądź przy waszym udziale... Nie wiem, czy mogę tu polemizować z tow. mi wstrem Sokorskim na temat bierności w tej sprawie bibliotekarzy. Nie mam przecieć ani jego znajomości rzeczy, ani jego szerokiego spojrzenia na całokształt omawianych zagadnień. Przypominając sobie wszakże wieczory autorskie, jakże często widzę bibliotekarza w roli organizatora spotkań z czytelnikami w terenie, po wsiach i miasteczkach, i dlatego odnośnie uważenie, że jeśli się znów odnajdujemy tutaj, w sali kolumnowej Rady Państwa, tak odświętnie i gromadnie, aby zacięnie nasz kontakt i pogłębić współpracę — to już tylko jeszcze jeden czerwony dzień kalendarzowy w terminarzu od dawna zaczętej konkretnej roboty i jeszcze jeden etap na drodze tych samych w gruncie rzeczy przemian.

Bo jeśli do świadomości pisarzy przemówiła rzeczywistość wielkich przeobrażeń społecznych domagając się udziału i pomocy — przemówiła niewątpliwie i do was. Jeśli stanęliśmy wobec nowych bohaterów i czytelników, w gąszczu nieznanych tematów, na niezbadanym terenie akcji, to i wyście musieli chyba przechodzić podobny okres przewidywania starych nawyków i treści, żmudny okres szukania i prób.

Co do nas, nie przyszło to i two. Z żarliwością odkrywaliśmy badacze nowe, zbieraliśmy realia jak nikt przed nami, ale ta ambicja poznawcza wiodła niekiedy w szarugę faktomantażu, lub na dźwięk sześciu egotyki. Uginając się pod pełnymi

naszego społeczeństwa. To znaczy przyspieszyć przebudowę naszego kraju. To znaczy przyczynić się osobście i bezpośrednio do zwycięstwa, od którego zależą losy naszego narodu.

Trudne to, ale najszlachetniejsze, i najwazniejsze.

IDZIEMY W SŁUSZNYM KIERUNKU

Byłoby dużym błędem, gdybyśmy na podstawie poprzedniej analizy objawów schematyzmu w naszej literaturze doszli do wniosku, że cała nasza tematyka współczesna nie jest warta.

W ciągu ostatnich dwóch lat ukazało się u nas sporo utworów o tematyce współczesnej, które są trwaymi osiągnięciami i świadczą o tym, że realizm socjalistyczny u nas rozwija się i pogłębia. Wymienimy chociażby pierwsze utwory — jak np.: „Traktory zdobędą wiosnę“ Zaleskiego, „Na budowie“ Konwickiego, „Na przykład Plewa“ Hamery, czy późniejsze, jak „Węgiel“ Seibora-Rylskiego, „Początek opowieści“ Mariana Brandysa, „Zwycięstwo“ Warmińskiego. Wysokie nakłady niektórych tych pozycji, czy powodzenie sceniczne, liczne przekłady naszych współczesnych powieści na rosyjski, niemiecki, czeski, węgierski, rumuński, bułgarski — są obiektywnymi sprawdzianami ich dużej wartości. Zresztą sytuację w naszej prozie powieściowej charakteryzuje także fakt, o którym nie wolno zapominać: ukazanie się właśnie w ostatnim roku wspomnianych już poprzednio paru wybitnych pozycji. Wprawdzie pośrednio podkreśla to słabość tematyki współczesnej, ale jednocześnie świadczy o dużym ożywieniu twórczości, o postępach i sukcesach naszych pisarzy, o ogólnym kierunku rozwojowym, o wzroście naszej literatury.

Przy wszystkich swoich słabościach nasza twórczość o tematyce współczesnej już dzisiaj — po paru zaledwie latach — świadczy o największym przełomie w dziejach naszej literatury. Zaden z kierunków literackich, które zjawiały się w naszych dziejach — nie mogłyby porównać się tak potężnym przeobrażeniami utartych nawyków pisarskich, manier twórczych, nawet stylu życia naszych literatów, jak realizm socjalistyczny, który zyskał rolę dominującą dopiero przed trzema laty.

Wystarczy uzmysłowić sobie, jak nagminnie panowały różne odmiany formalizmu w świadomości pisarzy okresu międzywojennego, jak trudna była podówczas walka o zasadę społecznego pojmanowania zadań pisarza, ile oporów musiał wtedy pokonywać nurt rewolucyjny — nie tylko o formalistach, ale i wśród kontynuatorów realizmu krytycznego, którzy nie od razu mogli zrozumieć decydująca dla dziejów ludzkich Rola Rewolucji Październikowej. Wystarczy uzmysłowić sobie, że i przez pierwsze cztery lata po powstaniu Polskiej Ludowej formalistki i kosmo-

polici, burżuazyjni esteci i po prostu męnlancy różnorodnego autoramentu, z hałasem proklamowali u nas swoje teorie, macili świadomość startujących podówczas literatów, wypaczali ich niedojrzałą jeszcze twórczość.

Typowym staje się u nas pisarz, który nie tylko za wstęp do pisania uważa pobyt w terenie, który pobyt swój traktuje nie jako beznamietną obserwację dziejących się w terenie wydarzeń, ale sam bierze udział w tych wydarzeniach, stuzi radą i pomocą terenowemu aktywnemu.

Idziemy w słuszny kierunek. Czy słuszne jest przyjęcie społecznej postawy pisarza wobec swej twórczości? Czy słuszne jest ukazanie w dziele artystycznym naszej rzeczywistości w jej rewolucyjnym rozwoju? Czy słuszna jest walka o trafienie naszej twórczości do rąk jak najszerszego mas naszego narodu? Któż by mógł zaprzeczyć?

Dzieła, które choćby częściowo realizują ten generalny plan działalności naszej literatury, spełniają dobrą robotę i autorzy ich zasługują na naszą pomoc i uznanie.

Nawet te utwory, z których cytowałem przykłady schematyzmu, posiadają swoje wartości, zasługujące na podkreślenie i świadczące o możliwościach rozwoju ich twórców. W „Gorących dniach“ Nizurskiego od razu pierwsza scena wywołuje silne wrażenie swojej plastycznością i napięciem. Postać Palysa, przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej, daleka jest od schematyzmu i przedstawia udatnie i ważny problem polityczny, i niebanalny typ psychologiczny. Cała problematyka zresztą „Gorących dni“, ukazująca już nie zakładanie spółdzielni produkcyjnej, ale proces jej wyrastania, zasługuje na baczną uwagę.

Podobnie w „Penicylinie“ znajdujemy szereg udatnych scen i rozdziałów, postaci: Kaweckiego i zwłaszcza Seydy wprowadzone nieszcześnie — rozwijają się później ciekawie i trafnie. Książka Hussarskiego posiada niejedną ciekawą postać — choćby kapitalny Balamos — i ma zresztą dobrą, chwilami poryjającą atmosferę wysiłku ludzkiego, pracy.

Nasza tematyka współczesna — z trudem, oporami i błędami, nieodłącznymi od wszelkiej pracy nowatorskiej, zaczyna coraz pełniej ukazywać naszemu społeczeństwu ogrom przemian, które się dokonała nas dokonują. Spełnia ona najważniejsze zadania przyspieszenia przebudowy naszej świadomości społecznej. Wszelka krytyka winna być prowadzona w jednym tylko kierunku i jeden cel mieć na względzie — przyspieszenie, rozszerzenie, polepszenie naszej twórczości o tematyce współczesnej.

Nasi koledy, którzy poświęcili się tej pracy, mają prawo oczekiwać od nas pomocy, liczyć na nas. Pracują bowiem na najważniejszym, decydującym odcinku naszej literatury.

Jerzy Putrament

to była za lektura dla literata, jak bardzo nam by pomogła.

Stuchałem więc rozmów czytelników, patrzyłem, co biorą i jak. Nie ciekawostki, nie ozdóbki braci. Tak się bierze narzędzie pracy — uważnie, wahaając, wając w ręku czy pomocne, czy przydatne? Czas stał się przecieć niesłychanie drogi, więc czy ta książka nie zawiedzie, czy nie szkoda na nią czasu? Te ręce wyciągnięte po książkę, szukające i wające, nieraz potem stawaty mi przed oczyma mobilizując odpowiedziałność za to, co piszę.

Później, w świetlicy, czytałem jak zwykle robotnikom napisane już rozdziały powieści z ich życia. Czytalem długo, okrutnie długo, bo przeszło godzinę. Miała to być dla mnie ostatnia próba: albo — albo. Jeśli wybrałem, jeśli po dwóch latach doznałem do końca tej powieści, to nie powiem że wyłącznie, ale w dużej mierze dzięki reakcji słuchaczy z ten wieczór.

No ale wy, towarzysze z terenu, swoją rolę, swe zadania i obowiązki najpełniej i najwyraźniej odczuwacie chyba tutaj, w tej sali, gdzie przedstawiciele partii, rządu i tytu nas z przeróżnych instytucji i związków przyszło na raz, by uczestniczyć w waszych obradach i prosić o tę czy inną formę współdziałania.

W codziennej pracy, w ścisłu drobnych aktualij — niejedna wielkość zaciera się i powuśzednieja.

Pewnej niedzieli, pamiętam, pojechałem z ekipą remontową Celulozy na podopieczną wieś. Było więc naprawianie przez robotników narzędzi rolniczych, była jakaś sztuka wystawiona przez dzieci szkolne, zebranie w świetlicy, wydawanie książek z biblioteki — nie podobna w tej chwili przypomnieć sobie wszystkie aktualij — słowem, była niezna w naszych dziejach niedziela: nie ta gnuśna, sobkowska i rozlazła po chłupach, ale uczynna, wspólna, techniczna reżiska radością i kulturą.

Ala chłopak z ZMP, wcale dobrze gospodarujący w bibliotece, nie wiedział, że uczestniczy w najgłębszych, bo już bytowych przemianach. Wyphywał mnie o wielkie budowle socjalizmu, o Nową Hutę, o Zerań, Częstochowę...

— Tam się dopiero buduje — mówił z zadrością — tam jest dopiero życie — na gigantach!

Jeśli jest na tej sali — musi odczuć, że także pracuje na gigantach. Na gigantach, bez którego nie podobna budować socjalizmu.

Igor Newerly

* Przemówienie wygłoszone na Ogólnopolskiej Naradzie Bibliotekarzy.

GRZEGORZ LASOTA

O właściwe wnioski z radzieckiej dyskusji o dramaturgii

Na łamach prasy radzieckiej toczy się wielostronna i ostra dyskusja o problemach radzieckiej dramaturgii. Dyskusja ta ma obzrywać znaczenie dla rozwoju literatury realizmu socjalistycznego.

Wielką wagę posiada artykuł o publikowany w „Prawdzie” z dnia 7 kwietnia 1952 r. (przedrukowany w polskim przekładzie w „Trybunie Ludu”).

„Prawda” dając ocenę sytuacji w dramaturgii z całą ostrością występuje przeciw prymitywnemu pojmowaniu zasad realizmu socjalistycznego, wypaczaniu jego podstawowych założeń, przeciw odstepowaniu od prawdy życia.

„Największym grzechem, jaki może popełnić artysta, jest obawa przed prawdą życia, uchylenie się od przedstawiania życiowych sprzeczności. Przepiętą prawdą obraz życia w jego rewolucyjnym rozwoju — to pierwsze przykazanie sztuki realizmu socjalistycznego. Piszcie prawdę — uczy towarzysząca nam naszych pisarzy”.

Demaskując istotę niedorzecznej teorii „bezkonfliktowości”, zrodzonej na gruncie niezrozumienia istoty sprzeczności nieantagonistycznych — „Prawda” stwierdza: „Dramaturgia powinna pokazy-

wać życiowe konflikty, bez tego nie ma dramaturgii...”

„Jednostka moralno-polityczna narodu radzieckiego, zlikwidowanie w społeczeństwie socjalistycznym antagonistycznych przeciwieństw klasowych doprowadziło do zniszczenia wielu dawnych konfliktów. W żadnym razie nie oznacza to jednak, że dramaturgowie mogą przedstawiać życie narodu — twórcy, w lagodnie — idyllicznych, słodkawo-ckliwych tonach. Podobny sentymentalny fałsz nie licuje zupełnie z postawą radzieckiego dramaturga”.

Wskazania te posiadają dla nas wielkie znaczenie nie tylko w dziedzinie dramaturgii, lecz również w innych rodzajach twórczości, tj. w prozie i poezji. Nie ulega wątpliwości, że w naszej literaturze z latwością odnajdziemy liczne przykłady lakierowania życia, cukierkowego fałszu, zwykłej obawy przed ukazywaniem trudności, nie dociągnięciem, panoszącym się jeszcze zła. To prymitywne i płytkie odzwierciedlenie życia wyrażone środkami artystycznymi niskiej jakości — określamy mianem schematyzmu.

Zjawisko to podobne w wielu swych objawach do schorzeń radzieckiej dramaturgii nie ma w sobie jednak prawie nic z teorii „bezkonfliktowości”, gdyż w przy-

hlaczającej większości współczesnych powieści i dramatów konflikt klasowy zarysowany był wyraźnie, lecz przedstawiony w sposób prymitywny i blady artystycznie.

Wielokrotnie już stwierdzano, zarówno w prasie jak i w dyskusjach, że uproszczone przedstawianie życia dalekie jest od realizmu socjalistycznego, że stanowi jego karykaturę. Wbrew próbom niektórych krytyków i pisarzy traktowania schematyzmu jako zjawiska związanego z zagadnieniami formy, stylu itp. towarzyszy Berman w swym przemówieniu wygłoszonym 27 października 1951 roku w sali Rady Państwa wskazał dwa najistotniejsze źródła schematyzmu i nienadążania na szczył literatury za życiem.

Są nimi: niedostateczna znajomość życia i niedostatecznie twórcze przyswojenie zasad marksizmu-leninizmu.

Występując przeciwko „lakierowaniu” rzeczywistości, towarzyszy Berman w podsumowaniu dyskusji stwierdził:

„Wydaje mi się, że są i inne rzeczy, że w naszym życiu. I z tymi złyimi objawami trzeba bezlitośnie walczyć. Jest jeszcze sporo zakłamania, sporo dwulicowości i walczyć z tą dwulicowością trzeba walczyć. Trudności, które towarzyszą naszej pracy, naszemu budow-

nictwu, sprzyjają temu, aby wyrzucić się, wyrzucić poza nawias dwulicowców, oszustów, karierowiczów, którzy liczyli na wygodne życie i dezertowali przy pierwszych trudnościach. Trzeba również walczyć z opieszałością, z bezdušnością, której u nas jest dużo i w aparacie państwowym, i w organizacjach społecznych, a nawet w niektórych ogniskach partyjnych. Pisarz, który zechce te sprawy oświecić, nie napotka trudności, byłoby to czynił z prawdziwą rzetelnością, z troską o wznowienie naszego Państwa, naszej władzy, naszej idei”.

W świetle walki o wyższy poziom naszej literatury zrozumiała jest waga słusznego i prawidłowego przeniesienia radzieckiej dyskusji o dramaturgii na nasz teren i przystosowanie jej wniosków do naszej sytuacji.

Z pewnych objawów referowania tej dyskusji w „Nowej Kulturze”, jak i z niektórych artykułów, wypowiedzi w dyskusjach, wynika, że w wielu wypadkach zapomina się o różnicy między sytuacją naszej literatury, a sytuacją literatury radzieckiej, bądź też usiłuje się dyskusję o dramaturgii wypaczyć.

Po pierwsze: musimy pamiętać, że dyskusja o zapożyczeniu dramaturgii toczy się w kraju, który zbudował już socjalizm i buduje komunizm, a co za tym idzie stworzył własną,

prodującą literaturę i dramaturgię, uświadomił metodę realizmu socjalistycznego, wydał takich pisarzy, jak Gorki, Majakowski, Furmanow, Serafimowicz, Szolochow, Ostrowski, Fadiejew, A. Tolstoj, Gładkow, Erenburg, Paustowski, Babajewski, Katajew, Nikolajewa oraz Treniew, Wisniewski, Pogodin, Wsiewłod Iwanow, Simonow i wielu innych.

Po drugie: dyskusja o dramaturgii toczy się wśród pisarzy, którzy twardo stoją na gruncie realizmu socjalistycznego, którzy mają poza sobą wieloletnie własne doświadczenie, stworzyli niejedno dzieło realizmu socjalistycznego i w swej przeważającej masie nadążają za biegiem życia, a nieraz nawet je wyprzedzają.

Natomiast u nas przenosimy wnioski radzieckiej dyskusji w warunkach budowania socjalizmu, kiedy nasza młoda dramaturgia i literatura realizmu socjalistycznego nie mają jeszcze bogatych doświadczeń i tradycji, kiedy ilość utworów odpowiadających wielkości naszego życia i jego przemian jest bardzo mała, a znaczna ilość pisarzy, stojąc na pozycjach realizmu socjalistycznego w praktyce jeszcze nie zdobyła własnych doświadczeń w tworzeniu dramatów i powieści odzwierciedlających życie budującego się kraju, kiedy wpływy i pozostałości burżuazyjnej ideologii na naszych pisarzy są o wiele większe — a co za tym idzie — nasza troska o to co nowe w sztuce i twórcze, aczkolwiek często artystycznie nie w pełni dojrzałe — musi być o wiele większa. Przebieg dyskusji o schematyzmie wykazał, że są jeszcze dość silne tendencje do odchodzenia od współczesnej tematyki (szczególnie w dramacie), do atakowania z pozycji obcych realizmowi socjalistycznemu utworów cennych swym nowatorstwem, że są pewne tendencje do podważania zasady typowości (przykładem artykułu Flaszewa w „Życiu Literackim” i Sandauera w „Nowej Kulturze”).

Tendencje wypaczające radziecką dyskusję o dramaturgii dają się zaobserwować na przykładach jej jednostronnego referowania, przytaczania tylko ocen negatywnych, wyrwania z artykułu „Prawdy” pewnych słuszych stwierdzeń, które w oderwaniu od całości tracą swą właściwą namowę.

„Potrzebni są nam Gogolowie i Szeczerinowie” — pisze „Prawda”. Stanowi to wezwanie do krytyki tego co stare, zmusza do związania z przytykami kapitalizmu. Dla nas wezwanie takie w sytuacji ostrej walki klasowej, kiedy mamy jeszcze pełno pozostałości przekleństwa wczoraj, wszelkiego rodzaju draństwa, szkodnictwa, bezdušno-

ści, wskazanie „Prawdy” posiada wielkie znaczenie. Nie wolno jednak odrywać tego sformułowania od całości artykułu i twierdzić, jakoby sama krytyka pozostałości starego w naszym kraju była wystarczająca.

W tym samym artykule czytamy: „Pisać odważnie, znaczyć to widzieć i wnieść do rozwoju rzeczywistości, jej przeciwieństwa, walkę nowego ze starym...”. „Artysta... winien ujawniać zwycięską siłę nowego w życiu, stać na jego straży, ochraniać to co jest postępowe, czynić zeń przykład dla milionów ludzi, pomagać aktywne w ukształtowaniu w nich najlepszych cech budowniczych komunizmu”.

Przykładem niezrozumienia stanowiska „Prawdy” jest artykuł tow. prof. Jana Kotta, publikowany w 9 numerze „Teatru”, oraz w jednym z dzienników na marginesie wystawienia we Wrocławiu sztuki Pogodina „Człowieka z karabinem”. W artykule tym czytamy: „Teoria bezkonfliktowości” i u nas zwycięża swoje tryumfy. Można nawet powiedzieć, że na naszym gruncie wystąpiła w sposób szczególnie zjadliwy, bez maskowania. W naszej krytyce teatralnej i teoretycznych rozważaniach nie mówiło się o prawdzie wprost o wygasaniu konfliktów, ale wprowadziło się za to mylące rozróżnienie między konfliktami „antagonistycznymi” i „nieantagonistycznymi”. Ta pseudo-uczona terminologia doprowadziła do rezultatu że zatarcia różnicy między konfliktami i pseudokonfliktami. Konflikty, dla których wybrano nazwę „antagonistycznych”, miały odzwierciedlać w teatrze walkę klas, głębokie przeciwieństwa życia, starcie ideologii.

„Ale obok tych istotnych i prawdziwych konfliktów, które były zawsze krwią każdego wielkiego utworu dramatycznego i dla których określenia niepotrzebny jest żaden przymiotnik, zaczęto bronić pseudokonfliktów i nazwawszy je konfliktami „nieantagonistycznymi”, próbowano umyć z nich fundament nowej dramaturgii. Co gorsza, że właśnie pseudokonflikty próbowano uznać za charakterystyczne i typowe dla konfliktów socjalistycznych”.

Są to niczym nie uzasadnione stwierdzenia znajdujące się w rzeczywistości sprzeczności z nauką marksizmu-leninizmu. W okresie budowy socjalizmu kształtują się i stopniowo umacniają nowe prawa rozwoju społecznego. Prawa te zasadniczo różnią się od praw rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego. Równocześnie ze stopniowym likwidowaniem sprzeczności antagonistycznych, będących wyrazem zasadniczych przeciwieństw interesów klasowych, które rozwiązać można jedynie drogą

rewolucji proletariackiej, pojawiają się sprzeczności nieantagonistyczne, których rozwiązanie możliwe jest drogą pokojową, drogą świadomej, planowej organizacji życia społecznego. Jeżeli sprzeczności antagonistyczne stają się podwodem wrogoci między różnymi grupami ludzi (klasami), to sprzeczności nieantagonistyczne stanowiące motor rozwoju społeczeństwa socjalistycznego rozwiązywane są na platformie przyjaźni i współpracy między ludźmi. Włodzimierz Lenin pisał:

„Antagonizm i sprzeczność to zupełnie nie to samo. Pierwsze znika, drugie pozostaje przy socjalizmie”.

Dla Polski, znajdującej się w okresie przejściowym od kapitalizmu do socjalizmu, właściwy jest spłot sprzeczności antagonistycznych i nieantagonistycznych. Podstawowe niewątpliwie są jeszcze te pierwsze. Nie wolno nam jednak w procesie budowania socjalizmu, w procesie kształtowania się socjalistycznego narodu, nie widzieć nowych nieantagonistycznych sprzeczności. Nabierają one coraz to poważniejszego znaczenia: krytyka i samokrytyka, walka o stosowanie nowych metod pracy, o wyższą wydajność, sprzeczność między rosnącymi wymaganiami przemysłu, aparatu oświatowego a brakiem wykwalifikowanych kadr itp.

Marksistowska nauka o prawach rozwoju społecznego w prawidłowy sposób przeniesiona została na teren literatury i sztuki, gdzie teorią „konfliktu antagonistycznego i nieantagonistycznego” znajdują swoje realne źródła w obiektywnie istniejącej rzeczywistości.

Jak widać, pochopne stwierdzenia tow. Kotta o pseudoucznej terminologii, doprowadzającej rzekomo do zatarcia różnicy między konfliktami i pseudokonfliktami — nie wytrzymują krytyki.

Zdwienie musi budzić przekonanie tow. Kotta o tym, jakoby konflikty nieantagonistyczne były półkonfliktami i, co dziwniejsze, jakoby u nas ogłoszono teorii zmierzającej do usunięcia z naszych sztuk konfliktów klasowych, walki klasowej.

Jeżeli chodzi o pierwsze stwierdzenie, to w zasadzie tow. Kott stoi na tym samym stanowisku, co i twórcy teorii bezkonfliktowości, dochodząc tylko do innych, równie niesłuszných wniosków. Twórcy teorii bezkonfliktowości, będąc w sprzeczności z życiem, uważali konflikty nieantagonistyczne za zjawiska łagodne, idylliczne, będące półkonfliktami. Tow. Kott uważa to samo. Twórcy teorii bezkonfliktowości tak zniekształcone elementy życia usiłowali podnieść do rangi teorii. Tow. Kott wychodząc z tych samych założeń dochodzi natomiast do przekonania, że takich konfliktów po prostu nie ma. Oczywiście, że przekonanie o tym, jakoby konflikty nieantagonistyczne nie mogły być wielkie i silne jest zupełnym nieporozumieniem. To ich odbicie w wielu radzieckich naszych sztukach było blade i nie dość wyraźne, lecz w życiu przybierają one niezwykle ostre i dramatyczne formy. Źródła ich płaskiego przedstawienia w współczesnym dramacie należy upatrywać w tym, że były oparte na powierzchownej, „zewnętrznej” znajomości życia.

Tow. Kott pisze, występując przeciw odzwierciedlaniu konfliktów nieantagonistycznych: „Ale obok tych istotnych i prawdziwych konfliktów, które były zawsze krwią każdego wielkiego utworu dramatycznego...”. Słowo „zawsze” jest tu zupełnie nie na miejscu. Autor zdaje się zapominać o tym, że wraz ze zmianą treści utworów zmienia się treść konfliktów, i to nie tylko politycznych, ale psychologicznych, które nie są wieczne, ponadklasowe i zmieniają się w zależności od klasowych stosunków, w zależności od klasowej świadomości.

Jeżeli zaś chodzi o drugie twierdzenie, jakoby były u nas tendencje w ostatnim okresie do zacierania walki klasowej w literaturze, to musiały one być poza powieścią „Kampania znaczy walka” głęboko ukryte, zaś w sztukach współczesnych zupełnie niewidoczne. Wiadomo bowiem, że zarówno w „Zwyrodnieniu”, „Próbie sił”, „Dobrym człowieku”, „Tysiaku walecznych”, jak w sztukach Maliszewskiego, Piórkowskiego i innych oś politycznych utworów stanowiła ostra walka klasowa. Wad należały się do szukania nie w założeniach tych sztuk, które były słuszne, lecz w ich realizacji, najczęstszą ułogę artystyczną, nieporadną, schematyczną, cofającą się przed ukazywaniem ostrości i złożoności tej walki.

„Wydaje się, że tow. Kott, zniechęcony niepowodzeniami naszych utworów o tematyce związanej w pierwszym rzędzie z produkcją, skłonny jest uważać, że tematyka ta sama w sobie jest uboga, schematyczna i nieciekawa: „... Jeszcze jeden termin pożyłszy za tymczasem zastaną. Tym terminem była sztuka o tematyce „produkcyjnej”. W ten sposób wielki i ważny temat walki o plan pięcioletni, racjonalizatorstwo i nowatorstwo, o przemianę najemnika w gospodarza wspólnego dobra oderwanego od całości zagadnień politycznych, od walki o władzę i formowanie się narodu socjalistycznego, od rzeczywistych i wielkich konfliktów, w których każdy z nas

STEFAN KOZICKI

Co czytają w bibliotekach

(na marginesie Ogólnopolskiej Rady Bibliotekarzy)

Biblioteka martwa — zbiór książek postawianych w szeregi na półkach, posegregowanych według alfabetu, wciągniętych do rejestru, przypominająca nieczynną węzłową stację kolejową. Stoją na niej różne, pełne towarów pociągi — i tylko stoją, nie wjeżdżają. Biblioteka żywa — to rejestrowanie i organizowanie ruchu książek, kierowanie ich odpowiednim torem, aby trafiły do właściwych rąk, aby rozdziły odpowiednie reakcje.

Bibliotekarz jest zawiadowcą węzłowej stacji naszego życia kulturalnego.

Literat oddaje książkę do wydawnictwa. Otrzymuje honorarium, egzemplarze autorskie. I co dalej? Dalej — albo otrzymują listy od czytelników — albo nie. Albo na spotkaniach z czytelnikami ma możliwość słuchać opinii o swojej książce, albo nie. Powierzchniowo rzecz biorąc można by sądzić, że w pierwszym wypadku książka jest poczytna, interesująca, a w drugim — wręcz przeciwnie. Ale często pozory mylą. Często okazuje się, że dana książka nie dotarła jeszcze do tego czytelnika, do którego była adresowana. Okazuje się, że bibliotekarz — zawiadowca skierował jakiś pociąg na niewłaściwy tor, lub zatrzymał go na stacji. Kto ma płacić (że użyję tu fachowego kolejarzkiego wyrażenia) postojowe, jakie to transporty stoją na stacjach?

O ile jeszcze czysta jest systematycznie klasyka polska, i to z wyjątkiem przeważnie Orzeszkowej, Sienkiewicza i Prusa nad Zerkomskim, o ile jest czytana klasyka obca, a ostatnio zdobyły sobie uznanie pewne pozycje radzieckie — Gorki, Szolochow czy Azajew, o ile w różnego odbiorcy posiada literatura popularyzacyjna i marksistowska, to współczesna beletrystyka polska jest bardzo słabo czytana — stw e dźi na Ogólnopolskiej Radzie Bibliotekarzy Włodzimierz Sokorski.

Ogólnopolska Narada Bibliotekarzy, która odbyła się niedawno w Warszawie, dała po części odpowiedź na pytanie, kto płaci postojowe — a w każdym razie — jak rozwiązać najbardziej węzłowe problemy węzłowej stacji, problemy zwiększenia czytelnictwa książek o tematyce współczesnej, książek mobilizujących bezpośrednio do zadań, jakie stawia przed każdym człowiekiem pracy w Polsce czas dzisiejszy, czas trudnej ale wspaniałej i porywającej walki i pracy.

ANKIETA POCZYTNOSCI KSIĄZEK WSPÓŁCZESNYCH AUTORÓW

Dyskusja o schematyzmie, mimo skarg Flaszewa *) rozszerzając się stale, przenicowała na wyrzut warsztat pisarza parającego się tematyką współczesną, znalazła się nawet krytycy, którzy opracowali wyczerpujące schematy walki ze schematyzmem. W dyskusji tej trwającej już pół roku bez mała zastanawia jednak jej ekskluzywność. Nie wyszła poza krąg ludzi „żyjących” z twórczości literackiej lub z jej krytyki. Szerokie skrzydło ofensywy przeciwko schematyzmowi nie ograniczyło tych, co wprawdzie niewiele mają wspólnego z „warszatem” pisarskim jako takim, a jeśli nie takim, to dlaczego?, ale dla których warsztat ten jest w ruchu — to znaczy tzw. szarego czytelnika.

W Związku Radzieckim w dyskusji o dramaturgii osiągnięto przede wszystkim opinii widza teatralnego. „Litieraturnaja Gazeta” publikowała wypowiedzi słusarzy, studentów, traktorzystów i nauczycieli. A jak jest u nas? Jak czytelnicy z różnych środowisk społecznych reagują na książki o tematyce współ-

czesnej? Choćbyż w najprostszych kategoriach oceny: nudna czy ciekawa? Jacy autorzy są najpoczytniejsi? Bez odpowiedzi na te pytania ze strony czytelnika dyskusje w warsztacie literackim będą po części zawieszona w próżni.

Narada Bibliotekarzy, to znaczy ludzi mogących stale, co dzień obserwować reakcje czytelników, wysłuchiwać ich opinii i orientować się w ich „zapotrzebowaniu” tematycznym — dała pewien materiał związany z wyżej postawionymi pytaniami. Mówcy występujący na Naradzie powoływali się np. wielokrotnie na wyniki ankiety rozpisanej na wiosnę b. r. przez Centralny Zarząd Bibliotek w tym celu, aby mogła być przedstawić na Naradzie możliwe najbardziej aktualne dane o czytelnictwie.

W ankiecie wzięło udział prawie 1.000 osób z różnych środowisk społecznych. Od robotników otrzymano 20% odpowiedzi, od chłopów i robotników rolnych — 12%, od pracowników umysłowych 31%, od uczniów — 11%. Na pytanie czy książkę przeczytano pomogły w wykonaniu zawodu — odpowiedzi pozytywnie tylko 38% ogółu ankietowanych. Najwięcej w grupie rolników i to z tym zastrzeżeniem, że chłop podawali w tym wypadku książki popularno-naukowe o tematyce rolniczej.

W odpowiedziach otrzymanych ze wsi występowały nazwiska autorów polskich. Najwięcej głosów otrzymał: Krzeszowski, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Prus i Deotyma. Wśród nazwisk współczesnych autorów powtarzają się najczęściej nazwiska Andrejewskiego i Lucjana Rudnickiego. W odpowiedziach otrzymanych od robotników zostały wymienione 42 nazwiska autorów polskich. Największą ilość głosów otrzymał: Orzeszkowa, Sienkiewicz, Krzeszowski, Prus, Mickiewicz, Wasilewska, Zeromski. Powolnienie książki polskie w tej grupie odpowiedzi wynoszą tylko 15% ogólnej liczby tytułów z literatury polskiej i 12% ogólnej liczby głosów. Sumując wyniki ankiety w tym względzie, pierwsze miejsce jeśli chodzi o poczytność otrzymał L. Rudnicki, drugie K. Brandys, trzecie Andrejewski, czwarte Morcinek, piąte Jastrun, szóste Hamera **).

Nie wysuwając na razie żadnych wniosków z tej statystyki prócz wniosku Włodzimierza Sokorskiego, zanotowanego na początku artykułu, warto zastanowić się, jakimi drogami książki dociera dziś do czytelnika, a szczególnie do czytelnika nowego, którego wychowuje się dopiero jako czytelnika, który nie jest jeszcze sam świadomy w pełni swych potrzeb intelektualnych.

Czytelnika takiego nie pozostawia się samemu sobie; bibliotekarz prowadzi go za rękę i daje do tej ręki książkę, którą uważa za najodpowiedniejszą. Co za obzrywa odpowiedzialność. Nie wystarczy tu „odgórne” zalecenie władz bibliotecznych: „należy propagować wśród górników powieść o górnikach”. Dobrze, jeśli książka daną w tym wypadku do ręki nowego czytelnika będzie „Węgiel” Scibora-Ryńskiego. Ale przecież do powrotu do alfabetyzacji, a w każdym razie do uniknięcia w ogóle książek o tematyce współczesnej może doprowadzić poduczanie niedawnemu alfabcie piekielnie nudnej, złej książki, mimo że jej określenie jest wewnętrzne (polski autor współczesny, tematyka produkcyjna itd.) będzie odpowiadało wszelkim „odgórnym” instrukcjom. Wcale nie powinno zależeć na tym, aby nowy czytelnik czytał wszystkie książki autorów polskich o tematyce współczesnej. Wystarczy, aby przeczytał to najlepsze. To dobrze, że w ankietach powtarzają się stale pewne nazwiska. Znaczy to bowiem, iż czytelnicy mają już swoich ulubionych autorów. Znaczy to, że nie zwracają już uwagi tylko na temat, ale również na właściwości stylu autora, indywidualność budowy fabuły, konstrukcji dramatycznej. To znaczy, że nadziedzi już okres, kiedy plany wydawnicze i akcje propagujące czytel-

niem mogą być układane nie tylko w pionie: z góry na dół — ale również w pionie: z dołu do góry. Instytucje stawiające pod adresem nowego czytelnika postulaty i mające za zadanie wychowywać czytelnika muszą się liczyć z nadchodzącym czasem, kiedy czytelnik też będzie stawiał postulaty i będzie wychowywał swoich dotychczasowych wychowawców.

JAK ZDOBYWA SIĘ NOWEGO CZYTELNIKA?

W dyskusji na Naradzie Bibliotekarzy najbardziej chyba interesujące były wypowiedzi bibliotekarzy z terenu, opisujących w sposób jak gdyby reportażowy swoje doświadczenia z pracy z nowym, dopiero zdobywanym dla książki czytelnikiem.

„Postanowiliśmy zorganizować żywą recenzję książki Hussarskiego pt. „Nowy mur”. Zainteresowaliśmy tym Zarząd Okręgu Związku Pracowników Budowlanych, zainteresowaliśmy zarząd oddziałowego Zjednoczenia. Tamtejsza rada Zakładowa wzięła książkę, przeczytała, przedyskutowała... Następnie dostarczyliśmy książkę kierownikowi budowy mówiąc: „Weźcie to, towarzyszu, przeczytajcie, tam występuje kierownik budowy, który ma różne trudności, a wiecie, że i wy macie trudności, podawajcie, jakie to trudności i was wyśtępują”. Z kolei prowadziliśmy rozmowy z samymi murarzami. Rozmowy odbywały się na wysokości trzeciego piętra na budujących się dekach... Nie tyle książka, ile nasze poawienie się na tym rusztowaniu z książkami pod pachą wywołało duże zainteresowanie, a nam chodziło o to, żeby się pytali: a co, a gdzie, a dlaczego? Ale nam to wszystko nie wystarczyło. Powiedrowaliśmy w których deszczowych wieczorach z miastem, gdzie znajdują się baraki hotelu robotniczego. Przyjeżdżając nas gościnnie ciepłem świetlicą, w której właśnie odbywało się szkolenie partyjne. Gdy wyjaśniliśmy cel naszego przybycia, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej powiedział: „Świetnie. Jeśli chodzi w niej o współzawodnictwo, to dajcie nam zaraz tę książkę, bo właśnie przeprowadzamy ze słuchaczami zagadnienie współzawodnictwa. Murarze wzięli książki i zobowiązali się do czytania tej góry w barakach”.

Potem była dyskusja nad książką w wojewódzkim Domu Kultury. Niestety jednak mimo przygotowań i obietnic nie udało się wciągnąć murarzy do dyskusji. Wiele — powiedział jeden z nich — to bardzo ładne i dobre, ale w tym wszystkim podobało, ale w tym Domu Kultury jest trochę tak elegancko, tak strasznie elegancko, że człowiek zapomina języka w gębie. Przyjdzie do nas, to my sobie wśród swoich pogadamy. I posłaliśmy bezopiecznego, ładnego, ale tam murarze powiedzieli: ładnie to ten pisarz napisał, ale chyba nigdy nie był na budowie”.

Mogłoby się здаwać, że najłatwiej wzbudzić chęć do czytania dając nowemu czytelnikowi beletrystykę. Tymczasem na Naradzie były głosy wskazujące, że często za interesować może bardziej niż powieść popularno-fachowa broszura. Dotyczy to szczególnie tych środowisk, gdzie dominuje postawa psychiczna sprzeczająca się do właściwego praktycyzmu:

Aby zbadać wyniki naszego działania postanowiliśmy przeprowadzić obserwację na terenie jakiegoś zakładu pracy. Wybraliśmy sasiadującą z nami bezpośrednio przalnię, zatrudniającą 167 osób, przeważnie kobiety... Nasza akcja propagandy czytelnictwa spotkała się z groźną kontraktacją. Zawodowe dyskuski jak na przykład Jadwiga Cibala, przywitany nas słowami: „Mnie tam cudzej matrości nie potrzeba. Ja muszę w kolejkach stać, a nie książki czytać”. I oczywiście książki nie brały. Grupowały się natomiast koło kiosku z książkami na pogawędki. Kiedyś w czasie takiej pogawędki wyłożyliśmy na wierzch książkę Cholewińskiej „Pomidory”. Czerwoną plamą pomidorów zdobiące okładkę skupity uwagę: „to o pomidorach”? Bibliotekarka wykorzystyła sytuację: „Może która z was ma ogródek, może która hoduje pomidory”? Ja mam. I ja i ja! — posypały się odpowiedzi. Wzięła wówczas książkę o pomidorach najwłaściwszą przeciwniecką czytelnictwa, wspomniana na wstępie Jadwiga Cibala, od tego czasu jest naszą stałą czytelniką. Z pomidorów przeszła na beletrystykę”.

W dyskusji również ciekawe były wypowiedzi określające kryteria,

którymi kierują się czytelnicy ze środowiska robotniczego czy chłopiekiego wybierając te a nie inne książki:

„U nas robotnik, jeśli wybiera książkę, na pytanie dlaczego wybiera tę książkę, a nie inną, odpowiada zwykle: oświadcza na tę książkę jest zniszczona. Znaczy, że ją dużo ludzi czytało. Znaczy, że jest dobra”.

„Jeśli chodzi o kobiety-czytelniczki, to praca nasza na początku napa'ywała na wielkie trudności. Zainteresowanie ogółu czytelniczek sprowadzało się przeważnie do jednego problemu: nieszczerściwej i zawiedzionej miłości. Potem nastąpiły zmiany. Dalem na przykład jednej z czytelniczek „Anne Proletariuszka”. Otrzymała. Po kilku dniach oddała, a gdy zapytałam, czy ją to zainteresowało, odpowiedziała, że nie. „Bo wciąż są zebrałmu, to co to za życie”. Nic nie mówiąc dałam „Martę” Orzeszkowej. Kiedy oddawała tę drugą książkę, sama zaczęła mówić. Ze Marta to taka nieszczerściwa, nie miała gdzie iść z dzieckiem, gdy ją wyrzucano z mieszkania, nie miała pracować... Konkluzją było: — to ja już wolę Anne”.

Największy procent aktywnych czytelników stanowi młodzież. W dyskusji wskazano, że młodzież najbardziej przejmują te książki:

„Jeden kolega przyszedł do Zarządu Powiatowego ZMP w Chranowie i powiedział, że chciałby książkę dla młodzieży, ale nie znalazł nic z tego, co chciał. Doradzano mu, żeby wziął „Ziemię kulniecką” Woloszyca o młodzieźowej brygadzie z kopalni. Ten kolega czytał książkę bardzo długo, trzymał ją tak długo u siebie, aż wszyscy się zaniepokoiłi, a potem okazało się, że książkę wędrowała po kopalni od jednego do drugiego. Potem kolega ten przyszedł i opowiedział, jak to pod wpływem „Ziemi kulnieckiej” przystąpił na jego kopalni do współzawodnictwa o najlepszy wynik w pracy młodego robotnika”.

„Młodzież do książki nie dochodzi z całym sercem, szuka w niej bliższych sobie bohaterów. Zaobserwowałam, jak w szkole dziewczęta po przeczytaniu „Młodej gwiazdy” zaczęły nosić ze sobą portret Koszewia. Jednego z nich bota przybrał. Młodzież zwykle występuje z żądaniem: przesyłaj mi książki, gdzie byłoby coś o miłości...”.

Narada Bibliotekarzy zakończyła się. Delegaci powrócili do swoich bibliotek i swoich czytelników, aby podsuwać im nowe książki, aby wysłuchiwać ich opinii o nich, obserwować, jak zmienia się pod wpływem czytelnictwa świadomość czytelników, ich postawa ideologiczna, stosunek do pracy.

Narada uświadomiła bibliotekarzy, że najbliższy etap ich pracy powinien rozszerzyć się o propagandę książek polskich autorów o tematyce współczesnej.

Narada zobowiązała bibliotekarzy do szczegółowszego niż dotychczas rejestrowania reakcji i opinii czytelników o przeczytanych książkach.

Będą więc zbierane (i publikowane) coraz częściej wyniki ankiet, akcji wspólnego czytania, żywych recenzji, dyskusji. Może już niedługo dowiemy się, jak pod wpływem książki takiego to a takiego autora zapisało się w jakiejś wsi tytuł a tytuł nowych członków do spółdzielni produkcyjnej. Niedługo będziemy mogli konfrontować zdanie znanego krytyka o książce znanego pisarza z zdaniem robotników zagłębia przemysłowego.

Jaka książka dostanie najlepszą ocenę w terenie? Jaka książka wywoła bezpośrednie reakcje nie tylko uczuciowe, ale również spowoduje zmiany i w świadomości politycznej czytelników, i w ich stosunku do pracy?

Odpowiedzi na te pytania zaczęły szukać bibliotekarze rozręchawszy się z narady w teren. Ale wnioski i postanowienia Rady Bibliotekarzy w tym aspekcie dotyczą na równo bibliotekarzy jak i literatów.

Stefan Kozicki

*) Z wypowiedzi I. Januszkiewicz z Biblioteki Hotelu Robotniczego we Wrocławiu.

**) Z wypowiedzi A. Trajdenberga, przedstawiciela ZMP.

***) Z wypowiedzi A. Polubowicz, Biblioteka Szkolna Rzeszów.

*) „Dyskusja (o schematyzmie) minęła szybko i gwałtownie jak deszcz majowy”. — „Życie literackie” nr 12.

*) Dane wzięte z referatu Czesława Kozła.

WIERSZE MŁODYCH POETÓW

TADEUSZ ŚLIWIAK (Kraków)

KOREAŃSKA SOSNA

Nad brzegiem morza rosła sosna,
przełamał ją w połowie pocisk,
miała być masztem — będzie wiosłem,
będzie się skarżyć słonej wodzie.

A może będzie służyć chłopcu,
któremu nogę urwał granat
i będzie jego nogą obcą,
czuła na skargi, choć drewniana.

Zróbcie karabin, zróbcie karabin,
rozklujcie sosnę na dwie części,
zostały jeszcze chłopcu ręce,
zostały zaciśnięte pięści.

RYSZARD LISKOWACKI (Lublin)

WIERSZ Z PROWINCJI

I

W moim miasteczku, które potrafi mrużyć oczy,
Gdy słońce rozświetli tarcze jasných dachów...
W moim miasteczku, które jest proste i ciekawe
Jak dobra powieść, która nie ma końca...
W moim miasteczku, w którym gołębie Picassa
Okruchy szczęścia jedzą ludziom z ręki...
W moim miasteczku, w którym zmierzch wkłada do dłoni
Parkową zielen, niby marzenie spełnione...
W moim miasteczku, które biegnie słońcem
Unosząc liście przez drewniany most...
W moim miasteczku jest grób, na którym
Tkwi gwiazda pięciopromienna.

II

W moim miasteczku, w którym sędziwe kasztany
Zgubiły szelest niespokojnych pieśni.
W moim miasteczku, które rozmawia z błękitem
Powstającymi kominami fabryk...
W moim miasteczku, w którym można zdobyć
Przyjaźń człowieka uśmiechem najprostszym...
W moim miasteczku wiedzą,
Kto krwią swą zapłacił
Za spokój dziecka i za uśmiech matki.

JANUSZ KONIUSZ (Katowice)

NAD „ŻYCIORYSAMAMI GÓRNIKÓW”

Na kopalnię spogląda moje okno,
Na szeroki, betonowy parkan.
Pochylony nad książką wam oddaję pokłon,
którym życie jak rdza zżarła walka.

Ja też musiałbym pod parkanem umierać
jak dziad i ojciec. Padli tu przed strajkiem.
Ale myśmy wygrali krwią tych bohaterów
Przedostatnią klasową walkę.

Na kopalnię spogląda moje okno.
Huk sortowni miesza się z szelestem kartki,
Pochylony nad nią składam wam pokłon,
Bohaterom ostatniej walki.

EUGENIUSZ BIEDKA (Szczecin)

POEZJA

Chronię przed ciszą płomyk,
który ocalał w burzy.

* * *

*Pamięci poetów chińskich, koreańskich i viet-
namskich, którzy polegali w walce z imperia-
lizmem.*

Upadłeś w lesie dębowym.
Zielona gałązka jak wieniec laurowy
spadła na skrawioną dłoń.
Daleko niesie pieśń twoją,
którą śpiewałeś z żołnierzami.
Umarłeś w lesie dębowym.

Upadłeś nad wielką rzeką,
umyleś w niej ręce — na wieczność.
Krew z tych rąk zakwitnie przyszłością.
Płynie wielka rzeka nadziei,
płynie wielka rzeka przyszłości
umarłeś nad wielką rzeką.

Na twoim grobie zasadzi różę
prosta chłopka, dla której żyłeś,
której śpiewałeś, za którą ginąłeś.

WITOLD DĄBROWSKI (Warszawa)

* * *

Kto umie serce nieść pod wiatr
i dróg wybranych raz nie zmienia,
kto dniom idącym patrzy w twarz
i ostro widzi kształt marzenia,
kto siłę zna rosnącą w nas,
kto w szturmów czas nie szuka cienia,
kto kocha pieśń codziennych walk —
ten jest z mojego pokolenia.

KAZIMIERZ ORLEWICZ (Poznań)

PIOSENKA O BZACH

W czyichś oczach lekko wstają
ciężkie, mokre bzy
— pieśń majowa tego kraju,
wiersze jego dni.

Na horyzont pociąg wpada
przez zatokę bzu.
Krajobrazy pasą stada
mlecznych, czarnych krów.

W taką porę robotnice
kładą dzieci w bzach.
W małych domkach przy ulicy
gra Chopin i Bach.

EDWARD BERNSTEIN (Poznań)

OŚWIATA

Stary Woźniak bierze książkę w szorstkie dłonie
I waży ją jak bochen chleba albo ziemię:
Jest lekka. Dopiero gdy żrenica wchłonie
Litery — w słowach znajdzie ciężar i znaczenie.
Jego twarz, w której żyją dawnych rzeczy cienie
Była dziecięca, zachwytu pełna łakomego,
Gdy wargi po raz pierwszy głosem dały brzmienie
I litery spłynęły spod pióra drżącego.
Dzisiaj w twarzy trwa nadal zachwyty niezatarty.
Dotyk dłoni marzeniom daje trwale kształty,
A w przedwieczornej ciszy każda krótka chwila
Pełna myśli i lekka niczym lot motyla
Jest lotem w stronę światła. Mijają godziny
Nad książką, każda niesie nowe narodziny
I nową młodość...

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI (Poznań)

ROZMOWA Z CÓRKĄ

Widzisz — jak stokroć do trawy się tuli?
Jak trzmiel groźnie buczy w południa kuli?
Jak kwiat do kwiatu się wiotko nachyla,
ciężarem zgięty czujnego motyla?

Tyle rzeczy staje się tu wokół,
ile w górze żeglujecie obłoków.

Popatrz — szeroki krajobraz, bez miedzy
jak wzrok prostą drogą idą koledzy,
ze szkoły chłopców i dziewcząt gromada.
Na żniwne pola przerwa cisza spada.

Pochyl się, słuchaj ziemi, ukleknij.
Poznaj, co jest dobre i co piękne.

LESZEK WITCZAK (Łódź)

TOWARZYSZOM Z F.D.J.

(Fragment)

Tylko serca waliły głucho,
tylko śmierć kneblowała ziemię
— gdy stawiano przed czarną łufą
komunistów z berlińskich ciemnic.

Nie łamali skrawionych dłoni,
nie klękały nad rowem skargi —
i rzucali salwom plutonów
gniew i pogardę.

Droga walki nas nie tuliła,
czasem kule sięgały serca.
— Ale nigdy nie padła przyjaźń,
żyła z nami na przekór śmierci.

Myśl została choć skuto ręce:
Dzierżyńskiego, Fuczika, Thaelmanna.
Z lat pochurnych człowiek w szczęście
szedł okryty dziejów lachmanem.

* * *

Idąc z Niemiec, Polski i Rosji,
krwi i potu ścierając strugi
— nie znaleźmy innej miłości,
prócz miłości życia i ludzi.

Ciemne lochy zdrady i męki,
nasz młodość stawiana pod płot,
pozostaną na zawsze w pamięci,
będą żyły w pieśniach F. D. J.

Już nie będzie ludziom po wieki
los wygnaćcy sercami targał.

Budujemy epokę człowieka
bez nienawiści i pogardy.

MIECZYŚLAW DZIACZEK (Warszawa)

NAD KOPALNIANYM STAWEM

Przestrzeń, która jest mleczna i pogodna
osiada pajęczyną na wieżach kopalni.

Odbija się w lustrze nieruchomej wody,
wśród trzciny czajki odprawiają gody.

Płowi malcy wyciągając szyje jak żurawie,
na giętkie gałęzie łowią złote karpie.

Mają wesołość w oczach, lecz poważni jak starcy
patrzają zgorzeleni na ptasie harce.

Nad stawem tkwiącym jak w sierpnie brzoźowym
droga pnie się w szyb „Makoszowy”.

Nad drogą w dziupli spoczywa dzięcioł,
po drodze mrówki żwawo się kręcą.

Malcy na radość matkom wyrosną chwaccy;
tą drogą będą powracać z pracy.

JAN BESTER (Warszawa)

* * *

Zmrok gwiazdzisty nad wsią się chyli.
Prosi blaskiem księżyc w olszynach.
Światło w takiej zapala chwili
i zasiada nad listem syna.

Drząc, jak ważki skrzydelko, w ciszy
szepc jej pierwsze ogrzewa słowa,
a cień wielki na ścianie pisze
migocząca lampa naftowa.

Zabłąkana w gęstwinie liter
sens pierzchliwy splata powoli.
Ledwie z trudem zdanie przeczyta —
jakby skibę zorała roli.

Ale dalej brnie uporczywa —
znów się słowo iskry rozпали.
Który oracz pracę przerywa,
nim ostatnich skib nie odwali?

W kręgu lampy papier szeleści.
Gość nieczysty — uśmiech na twarzy.
Syn studuje. W dalekim mieście
realnie największe z marzeń.

Prostym szczęściem jest taka chwila:
pod gwiazdami zasypia wioska,
syn nad książką głowę pochyla —
przy nim czuwa matczyzna troska.

BOGUSŁAW KOGUT

SPRAWA FLORIANA DĘBICY

(dokończenie z poprzedniego n-ru)

Czesiek Rokita nie miał we-
solego życia. Odkąd sięga-
ła jego pamięć, był zawsze
popychadłem i ofiarą. Do-
cinki, kpiny, szturchanie
i harówka od najmłod-
szych lat — to wszystko, czego za-
znał w życiu. Matka odumiała go,
kiedy był jeszcze bardzo małym
chłopcem. Niemłody już ojciec nie
mógł sobie sam poradzić z gospo-
darką, ożenił się więc wkrótce. Ma-
cocha, energiczna, krzykliwa kobie-
ta nie lubiła zezowatego fuji, jak
nazywała pasierba. Była wdową i
miała dwóch synów, starszych zna-
cznie od Czeska. Ci synowie byli
teraz w domu na pierwszym miej-
scu. Zahukany przez żonę i jej sy-
nów, zreumatyzowany i przedwczę-
śnie zniechęcony ojciec Czeska
miewało miał do gadania na włas-
nej gospodarce. Czesiek pozostał
prawdziwym pasierbem, opuszczony
popychadłem. W dodatku,
krótko po śmierci matki, zламаł no-
gę; źle złożona, zrosła się krzywo
i uczyniła z Czeska, i tak już upo-
śledzonego nieszczęsnym zezem, nie-
zdarnego kalekę. To kalcetwo spo-
wodowało, że również poza domem
Czesiek był często przedmiotem
drwin i docinków ze strony rówieś-
ników. Do szkoły nie chodził długo.
Podrastał przecież i był potrzebny
macosze przy gospodarce, zabrano
go więc ze szkoły i rychło zaprze-
nięto do roboty. Tak zbiegło kilka
długich lat. Ale potem starszy syn
macochy zaplątał się w różne nie-
czyste sprawy; pędzenie bimbru,
handel pokatny i kto tam wie co
jeszcze. Potem kontakty z bandami
— niby podziemiem, rabunki i tak
dalej. Wreszcie wyładował za krat-
kami. Dostał dwanaście lat. Młod-
szy syn Rokitowej ożenił się nato-
miast bogato w Skrzyszynie i wy-
prowadził się na swoje, ogołociwszy
przy tym, nie bez pomocy matki,
gospodarkę ojczyma. Na dziesięcio-
hektarowej, mocno zresztą nadwe-
rżonej gospodarce pozostał stary
Rokita z żoną i Czeskiem. Czesiek
tymczasem podrósł i, choć kulawy,
był jedynym, zdatnym do roboty

meżczyzną w domu. Tak więc zna-
czna część spraw gospodarskich
przeszła w jego ręce. Oczywiście
macocha nie oddawała mu prymu
w rządzeniu domem, ale zawsze co
meżczyzna to gospodarz.

Teraz dopiero Czesiek zaczął czuć,
że żyje, że nie jest jakimś tam tylko
miotłą w chałupie. Także na wsi,
wśród rówieśników czuł się inaczej.
Chłopcy zetempowcy, ci sami zresz-
tą, którzy przed laty w szkole
popychali go i przezywali kulawym
czortem, teraz traktowali go jak
kolegę, na równi z wszystkimi in-
nymi. Zresztą Czesiek też wstąpił
do ZMP, choć kosztowało go to wie-
le awantur i piekła w chałupie.
Macocha, która wciąż nie chciała
rezygnować z rządzenia w domu,
miała ambicje bogaczki i nie mogła
ścierpieć, że Czesiek brata się z
dziadami i komunistami z ZMP.
Ale najwięcej kłopotu miał Czesiek
ze świadczeniami pieniężnymi i od-
stawą zboża. Stara nie chciała płacić
FOR-u i ani słyszeć o odstawie
zboża. Chciała gospodarować tak
jak Florian Dębica i inni. Ale Cze-
siek robił co uważał. Tak i ze zbo-
żem. Po wielu scenach z macochą
i uległym jej, niedołężnym ojcem,
odstał już około ¼ swojej należ-
ności.

Tego dnia z rana, skogo tylko róż-
biegła się wieść o zepsutej maszy-
nie u Dębicy, Czesiek ulotnił się
gdzieś ze Stefanem Ziel-
skim. Po jakiejś godzinie wrócił prowadząc
ze sobą Franka Ziębę, który uczył
się kiedyś w rymarza i teraz był
we wsi specjalistą od reperacji u-
przeży. Franek usiadł na ganku i
wyciągnął z torby swoje sztydła i
dratwy. Czesiek pokuśtykał do staj-
ni i przyniósł poprute i porozrywane
szory. Parę dni temu konie wy-
straszyły mu się na przejeździe ko-
lejowym pod Ługami, gdy jechał
ze zbożem — i porzywały szory.
Powiązał drutami i sznurkiem i ja-
koś dojechał do domu. Ale teraz,
żeby jechać do Ługów po maszynę,
trzeba szory pozyswać.

Rokitowa zwiędziała się już, że
młodzież ślupowicka organizuje wy-

W bocznej nawie kościoła św. Krzyża, dawnej gotyckiego, przebudowanego później na barokowy, jednego z najstarszych w Opolu (a tych starych kościołów w Opolu niemało; jest nawet jeden bardzo ładny, również barokowy, t.zw. „kościół na wzgórzach”, którego początki wiąże się z osobą legendarnego św. Wojciecha, a więc o tysiącletniej prawie tradycji) — otóż u św. Krzyża stoi obraz Marii Panny w pięknej, bogatej, srebrnej ramie. Obraz — jak informuje skromnie tabliczka, umieszczona w westybulu kościelnym — jest dziełem jakiegoś włoskiego mistrza epoki Odrodzenia. Słynie on z „laski” w całej okolicy od Piekark Śląskich (dokąd go kiedyś przeniesiono i skąd się wywoździ jego rozgłos), aż po Pragę Czeską (dokąd go przeniesiła za Habsburgów gorliwa księżka, oczywiście, nie bez wyraźnych intencji politycznych). Rama pochodzi już z czasów późniejszych. Wykonał ją anonimowy złotnik ze srebra, darowanego kościołowi przez Jana Sobieskiego, który tędy właśnie maszerował ze swoją husarią na Wiedeń ratować chrześcijaństwo.

Trudno dziś sprawdzić, czy Sobieski złożył ofiarę na intencję swego pochodzącego, czy też z powodu odniesienia już zwycięstwa. W każdym razie „tutejsi” (Opolanie krzywią się, jak się o nich mówi „autochtoni” i mają rację) — wspominają o tym z niejaką ironią, czy goryczą. Jest to właściwie ich słuszną pretensją do Polski. Nie mówią o tym, ale wyczuwa się, że to ich nurtuje podskórnie, że to podważa ich zaufanie polityczne do Polski. Gdyby zresztą odsonił tok ich myśli, nieubłaganie logiczny — przedstawiłoby się tak: siedzi ratować chrześcijaństwo, a nie potrafi uratować Śląską; ofiarę się wykpił, a nie zdobył się na to, aby pozostawić w Opolu dwóch choćby pułków jazdy, które by całą sprawę bez hałasu załatwiły. Bo przecież nie mógł nie zbawcy chrześcijaństwa powiedzieć ten sam Habsburg, który go wzywał na ratunek.

Dawno nabyty zmśl kalkulacji, dziś już wrodzony tym skrzętnym ludziom, podsuwa jeszcze niepokojące pytanie: co zyskała Polska na wyprawie wiedeńskiej? Pytanie tym trudniejsze i tym bardziej niepokojące, że nasuwa się natychmiastowe porównanie z Prusami. W 1745 r., a więc krótko po Sobieskim, przyszedł tu Fryderyk Wielki, wziął wszystko mocno w łapy, założył w Ozimku w 1753 r. hutę żelazną, jedną z pierwszych na całym Śląsku i wprowadził „żelazny ład” na długie lata, ciągnąc spore zyski z tej zier: i. Jest jeszcze jeden moment, który Ślązacy wypominają z goryczą. To żal do Piłsudskiego, który — gdy tu na Śląsku lud krwawił w powstaniach, walcząc o polskości tych ziem — odwrócił się od tej „wątpliwej wartości kolonii polskiej” (jak miał się wyrazić) i poszedł w kierunku, wskazanym mu przez francuskich, angielskich i rodzimych, polskich, kuzynów panów Ballestremów, Donnersmarcków, von Proskau'ów i innych właścicieli wielkich latyfundiów śląskich — na Kijów.

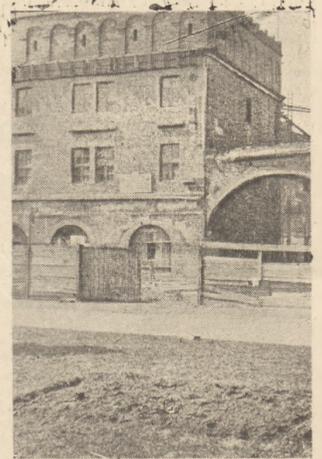
Rachunek poważny. Fakt, że jedno obciąża pierwszą Rzeczpospolitą, tę pańską-szlachecką, feudalną, a drugie — Rzeczpospolitą pańską-burżuazyjną, tę kapitalistyczną —

tego rozeznania brakło. W oczach ludzi „tutej urodzonych” była to ciągle ta sama Polska, od której przemocą ich odrywano, była to ojczyzna, w której panuje ta sama, polska, „naszyńska mowa”. Mieli i oni swoje „uniwersytety” w twierdzy w Strzelcach, gdzie siedzieli sami, albo ich „starzykowie” za hardości polską, za powstania. Ale tam Marksa nie czytano jeszcze. Siedzieli za nieustraszoną walkę o utrzymanie ojcowizny, za walkę o zachowanie podstaw niezależności gospodarczej, która stwarzała pozory niezależności politycznej. Ci co doszli do Marksa — to byli już pariasi, synowie tych, co poszli do huty w Ozimku. Dla nich walka o wyzwolenie narodu łączyła się ze sprawą wyzwolenia proletariatu. O wyzwolenie proletariatu walczyła zaś KPD.

Gdzieś między tymi postawami kołace się problem tutejszych Ślązaków. Z jednej strony stał chłop, który się bronił przed wynarodowieniem, umacniając swą gospodarkę, aby w ten sposób przetrzymać napor hakatyjczyzny, a więc postawa na pozycjach drobnostawnych, którą rychło objął w swe ramiona i zdyskontował politycznie Korfanty do spółki z klerem. Z drugiej — sproletyzowany chłop, syn tego hutnika z Ozimka, zepchnięty z pozycji niezależności gospodarczej, szukający rozwiązania swojej sprawy poprzez sprawę całego proletariatu, pociągnięty później przez powstanie Spartakusa i jego śląskie ogniska.

Nie był to oczywiście podział czysty i bezwzględny. Narodowy charakter powstań śląskich zamocnił mocno robotnicy i radykalna młodzież inteligentka z innych dzielnic Polski, którzy włączyli się ochotniczo do walki Ślązaków i zabarwiali ją na czerwono. (Warto by tę sprawę przewentylować i ujawnić dziś szczegóły, które zostały zepchnięte w kąty i przykryte „kurzum” zapomnienia. Na gmachu Muzeum w Łodzi na pl. Wolności znajduje się tabliczka ku czci poległych w powstaniach śląskich. Przecie nie fabrykantów!)

Gdy wojskowi i politycy pełnomocnicy Donnersmarcków i Ballestremów — ci sami przedstawiciele mocarstw alianckich: Francji i



Fragmety architektoniczne zabytkowych kamieniczek na rynku w Raciborzu.

Anglii, na których niezmiennie liczyło nasze mieszczanstwo i którzy dziś z tą samą łatwością podważają nasze prawa do ziem zachodnich — „załatwili” problem Śląski „zgodnie z wolą ludności” wyrażoną w plebiscycie (pozostawiając poza granicami Polski powiaty i okręgi nierządno w 100 proc. polskie) — na placu pozostał robotnik, który wrócił do huty, czy kopalni, poddany coraz silniejszemu naciskowi imperialistycznemu, przerstającemu w faszystowski. Syn nosiciela tradycji narodowych uszedł za „kordon” do Rybnika, czy Tarnowskich Gór (jeżeli ojciec był majątniejszy, a syn nazbyt zaangażowany



Rynek w Raciborzu wg obrazu anonimowego malarza sprzed 200 lat.

w robocie politycznej), albo trzymał się pazurami ziemi do chwili, kiedy wzytu z niej musiał szukać pracy w fabryce, poszedł on do niemieckiej szkoły i tylko w domu, po cichu odmawiał po polsku pacierz do stojącego z łask obrazu Marii Panny z Piekark Śląskich. Syn sproletyzowanego chłopca też poszedł do szkoły, rychło ją jednak opuścił, bo trzeba było iść do pracy. Temu wyrzywało się już tylko polskie „pieroną” w fabryce, czy kopalni. „Dzieci obywateli poszły już do hitlerowskiej szkoły i — czy rodzice zgadzali się, czy nie — musieli należeć do hitlerjugend.

Wydaje się, że bez tych ogólnie i luźno zakreślonych konturów niesposob zrozumieć problemu ludzi, którzy są niewątpliwymi Polakami, problemu kraju, gdzie wszystko jest niewątpliwie polskie. Przecież według oficjalnych niemieckich statystyk (Statistisches Jahrbuch fuer das deutsche Reich) — jeszcze w 1928 r., a więc po przegraniu wszystkich szans, 535 tys. ludzi przynajmniej tu do polskiego języka ojczystego, 535 tys. na 1.800 tys. mieszkańców całego wówczas niemieckiego Górnego Śląska, diabelnie zniemczono, obwarowanego niemieczyzną, zwłaszcza w gęsto zamieszkałych miastach na granicach.

Coraz to nowe siły wyostrzały u tych ludzi ostrożność, wzbudzały indyferentną zgodność i spychały w otchłań oportunistów narodowego.

Huta w Ozimku była jedną z pierwszych na Śląsku. W 1789 roku zrobiono tam pierwszą na Śląsku próbę wytopu surówki na

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI

NOTATKI Z

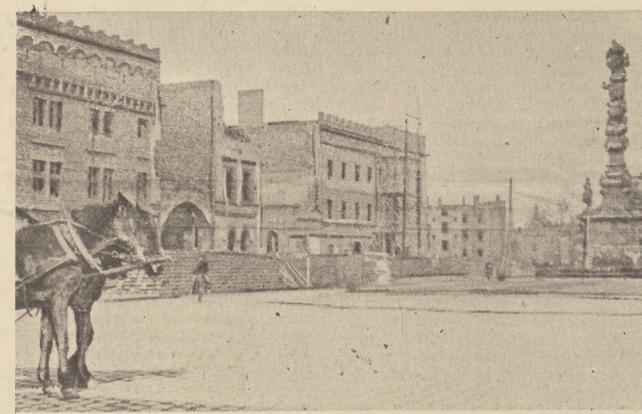
koskie, Próba się nie powiodła. W 1805 roku wygaszono wielki piec, bo zabrakło drzewa, a do węgla było za daleko. Państwu nie opłacała się z wielu względów konkurencja z prywatnym kapitałem. Próbowal ją rząd sprzedać — również bezskutecznie. Fryderykowski hutę zepchnęli na bok nowe przedsiębiorstwa wielkich właścicieli latyfundiów, które były bliżej Śląsku i

którzy nie mogli sobie znaleźć odpowiedniego miejsca w środkowych Niemczech. Na Opolszczyźnie reprezentowali oczywiście mocarstwową wielkość Niemiec, przejęci misją umocnienia władzy Rzeczy w tym morzu „der verdammten Polackei”, jak się nazywa Opolszczyznę nie tylko w publicystyce. Chłop, który nie poszedł jeszcze do pracy na wschód i rozglądał się za nią na miejscu — ujrzał w swym sąsiedztwie tych wszystkich, których przybył z Niemiec wypchnęli z warsztatów w miastach. Miasto stało się domem przybyszów. Opolanin z właściciela i samodzielnego rzemieślnika schodził do rzędu robotnika, co najwyżej majstra.

Warsztaty zamieniały się powoli w fabryki. Miasto zmieniło wygląd. Stylowe kamieniczki opolskie zaczęły pokrywać się krzyżującymi reklamami. Opolaninowi zdawało się, że bierze w tym udział. Bo jego rodzinna wieś, taka np. Wójtowa Wola, została administracyjnie włączona do Opolu. Bo w Ozimku wybudowano dwie nowe wille dla dyrektorów hut. Bo w Otmęcie Herr Otmę, właściciel magazynu obuwia w Opolu, wybudował do spółki z panem Bata, fabrykę obuwia. Mówiono, że dzięki temu bogaci się kraj. A więc jego Śląsk. A więc i on sam, gospodarz tej ziemi.

Oczywiście nie bez tego, aby sam nie odczuł pewnego ożywienia. Jakiś okrucy nadwartości spłynęły i do jego kieszeni w postaci wyższej ceny za zboże, czy wieprzka, którego wyhodował. Ale to było już udziałem nielicznych.

Opolanin patrzył na to wszystko i — pomimo że czuł coraz silniejszy napór na swoje pozycje, że spychano go na przedmieścia i wypierano z pszenicznej gleby — pozwalał się urzekać zewnętrznyemu wyrazowi wzrostu bogactwa, w którym udziału nie brał. Gdy przychodziły wojny i stawał się potrzebny na mięso armatnie — usiłowało go przekonać, że jego udział w ogólnej puli majątku narodowego jest całkowity i pełnoprawny i dawano rodzinie... kartki chlebowe.



Rynek w Raciborzu w odbudowie. Zwraca uwagę wierne odwzorzenie dawnego jego wyglądu.

A bogactwo kwitło na Śląsku. Renta gruntowa w ciągu 20 lat (na przełomie XVIII i XIX stulecia) wzrosła tam o 30 proc. W końcu ub. wieku za 1 ha gruntu płacono 40 tys., 60 tys., a nawet 100 tys. marek. (Chuda ziemia Ślązaka nie zyskała przez to na wartości. Jeżeli się w jej wnętrzu znalazł węgiel — wypchnięto go z niej co rychło. Ale przecie i tych piasków trzymał się zębami). Zagęszczenie mieszkań wynosiło 4 i pół osób na mieszkanie. (W jego, Ślązaka, przedmiejskiej chałupie luźniej się przez to nie zrobiło, ale i tak opuszczać jej nie miał zamiaru, bo dokądby poszedł?) — A mówilo się, że Śląsk się bogaci...

Rzeczywistość dla tych, o chcieli ją widzieć — nie była tak radosna. 76,2 proc. ludności Śląska — ciągle według oficjalnych statystyk niemieckich — mieszkało w małych mieszkaniach. Połowa prawie wszystkich domów — to niewielkie, osiemnastużebne — to w imieniu, chałupy. Brak tylko jednego — mąpy, na którą można by nanieść zagęszczenie tych ludzi, którzy się przynajmniej do języka ojczystego polskiego i rozmieszczenie małych domków. Obydwie pokrywałyby się. I wtedy ujrzeliśmyby narodową i społeczną podszewkę statystyki niemieckiej na Śląsku Opolskim.

Nie da się oczywiście zaprzeczyć, że zagęszczenie mieszkań na Śląsku Opolskim było mniejsze niż za kordnem, w takim Sosnowcu, czy Bezdzinie. Trudno nawet porównywać te wielkości. Ale trudno również porównywać Opolszczyznę z sąsiednim Bytomiem, czy Zabrzem, gdzie hitlerowcy budowali w ostatnich latach wiele setek, a nawet tysięcy domów w wyraznym zresztą politycznym celu umocnienia pasa nadgranicznego. Właśnie dla podkreślenia różnicy z polskim Górnym Śląskiem, gdzie kapitalistyczny pełnomocnicy i dyrektorzy w zakładach Flicków i Donnersmarcków budowali sobie wytworne wille, zamiast domów dla robotników, z którymi i tak nie wiadomo było co robić, bo ich ciągle było za dużo.

Wystarczy pojechać dziś do takiego Ozimka, Otmętu, czy Kędzierzyna, żeby widzieć klasową, narodową i polityczną podszewkę budownictwa hitlerowskiego, żeby widzieć, jak na tle wzrostu stopy życiowej niemieckiej burżuazji nędznie wygląda chałupa śląskiego robotnika na Opolszczyźnie.

Ala Ślązak opolski, gdy odeszła go zmora ucisku narodowego, przypomniał sobie to wszystko, co się tam działo w ruchu koniunktury wojennej i nałożył na to obraz sprzed zniszczeń. A tu ruiny... i mozolne dźwiganie się.

Mozolne? — Są miasta na Opolszczyźnie, w których procent zniszczeń równa się Warszawie w chwili wyzwolenia np. Nysa, Racibórz. Nie ma ani jednego całego domu. Ani jedna fabryka, ani jeden zakład nie pozostał w ruchu. Wszystko trzeba było od nowa, wszystko od początku.

Rafał chodził wolno tam i z powrotem po łące. Helce zdawało się, że stryj musi się pochylać, żeby nie zawadzić głową o białe tragarze. Był chyba jeszcze wyższy niż ojciec.

— To ja już pójdę — odezwała się dziewczyna. — Zostańcie zdrowi.

— Idź zdrowa. A Florianowi powiedz, powiedz ojcu — poprawił się — żeby się tak bardzo nie bał, że go z torbami puszcza. I niech się przypomnia, jak to on własnego brata, choć z innej matki, puścił z torbami. Ja go oszczędzać nie będę.

Helka stała u drzwi upokorzona. Łzy wstydzi cisnęły się jej do oczu. Wyszła wreszcie, wybiegła niemal.

Rafał stał jeszcze chwilę i medytował. Po tylu latach odpłaci chociaż trochę, chociaż w małej części Florianowi. Tak, pojedzie do Ługów. I nie tylko on sam. Pojadą i inni z Bud. I wcale nie będą czekać na soltysa. Sami, jeśli zdążą, pojedą przed spóldzielnię.

Zamknął chałupę, wyszedł na zabłocony podwórze i skierował kroki ku sąsiedniej zagrodzie. Tu mieszkał szwagier Kwapiński, brat żony Rafała.

Helka biegła przedko polnymi drogami ku wsi. Dokonała swego — zrzuciła ze siebie ten ciężar wątpliwości — „zrobić nie zrobić”. Ale niewiele jej to pomogło. Wyrzuty opadły ja na nowo. „Jakże to tak, przecież ojcu? To nieladnie.” Przez chwilę żałowała nawet, że tu przyszła — ale to trwało sekundę. Pomyślała o Stefanie i zaraz zrobiło się jej różnie na duszy. Stefan będzie się cieszył, że pojedą konie z Bud. Wiedziała na pewno, że pojedą. Stryj Rafał był zawzięty. Lecz to przecież nie na żadną krzywdę dla ojca, dla nich. Wszyscy zboże sprzedają, przecież nie za darmo, to i ojciec może.

Przed sklepem Samopomocy już stała spora gromada ludzi i koni. Stefan Zieliński zdumiał się, kiedy na drodze zjawia się Helka i zaraz odwróciła go na bóg.

— Ile masz koni? — spytała przedko.

— Dziewiętnaście. Bo co?

— Bo jeszcze pojedą z Bud.

— Co ty mówisz? Skąd wiesz, Helka?

— Byłam tam, u stryja Rafała. Pojadą. Tylko może im trzeba wyjechać naprzeciw.

— Helka! — wykrzyknął Stefan ujmując ją za rękę. — Moja ty!

Wymknęła mu się.

— E, wszyscy się gapią, nie wyglądasz się, Stefek. — Obróciła się i pobięgała szybko przed siebie.

Po chwili Kazik Zieliński gnał klusem polami, ku Budom.

Na zakręcie za wsią do słupowickiej wyprawy dołączyła się grupa pięciu koni z Bud. Na czele jechał Rafał Dębica.

Florian Dębica nie wierzył, by w tym czasie można było przywieźć lokomobile z Ługów. Jeśli nawet pojedą, to zarzną w błocie i będą stać do lata — kombinował. Ale kalkulacja ta zawiodła.

24 konie ze Słupowic przybyło zaraz po południu do Ługów Wielkich po maszynę. Po trzy lub cztery pary zaprzęgano na zmianę. Maszyna rzędną w błocie, upierała się, ale szła. Krok za krokiem, metr za metrem sunął ten osobliwy korowód. Ściemniało się już, kiedy dojechano do grobli. Stał już blisko na pole Floriana Dębicy, ale tu właśnie najgorsza droga. Po prostu grzęzawisko.

Kwiecień i Kazik Zieliński radzą nie jechać, tylko wyomoczyć najpierw groble kamieniami i drzewem. Ale ludzie są już zmęczeni, niecierpliwi.

— Co tam, przejedziemy jakoś.

Zaprzężono świeżą osiemkę, i jądza. Kilkanaście metrów — idzie. Ale maszyna grzęźnie coraz bardziej. Wreszcie zarzędną aż po osie.

— Co teraz?

— Trzeba było mnie słuchać — mówi Kwiecień.

Zapadający szybko zmierzch utrudnia do reszty jakąkolwiek robotę. Sytuacja staje się naprawdę krytyczna. Opodal, nad rowem melioracyjnym, leży przykryta troskliwie sterta bełek. To kulak Kopeć ma budować most przez rów na swoim polu. Można by pożyć te bełki i wyomoczyć na prędce groble. Ale... to

przecież cudze mienie. Kopeć zażąda odszkodowania, że mu się niby materiał zniszczył — i co?

Niespodziewanie zjawia się Wiktor. Skąd się tu wziął? Kto by tam teraz pytał.

— No co? Utknęliście?

— A no, jak widzisz. Tak myślimy, czyby nie pożyczyc tych tam bełek od Kopcia. Po nich byśmy wyjechali.

— A będzie chciał pożyczyc?

— E, to nie ma mowy, ale pytać się go? Odniesiemy mu potem, wyjemy z Błota na czysto.

— Nic z tego, moi kochani — mówi stanowczo Wiktor. — Nic z tego, to samowola. Ludzie — kulacy czy nie kulacy — słusnie by szemrali.

— No to co? Nocować tutaj?

— U mnie jest drzewo na słupki do plotu — mówi Kwiecień. — Niech kto jedzie ze mną — przywieziemy. Daleko — ale swoje.

Zmęczeni ludzie nie bardzo kwapili się jechać na drugi koniec wsi po bełki.

— Do północy będziemy tu grzebać — odezwał się zafrasowany Czesiek Rokita. — Konie ledwie zięją.

— To co, ludzie kochani — rozpalili się Kwiecień. — Zostawić tu maszynę do lata? Żeby Florian Dębica kpił jeszcze bardziej? To już lepiej było wcale nie jechać.

— Młodzi to zawsze tak — sarknęła Łobodzki. — Zapalają się „zobaczycie, że przywieziemy!” — a potem tyłek w kącie, na kolację by szli. Nie ma co — zwrócił się do Kazika Zielińskiego — jedziemy po Kwieciostawie słupki. Tutaj maszyny nie zostawimy.

Pojechali po te słupki: Zieliński Kazik z Łobodzkim, Kwiecień i Wiktor. Reszta czekała cierpliwie na grobli.

Było już koło dziewiątej, kiedy wreszcie maszynę przetransportowano przez groble.

— Trzeba było mnie słuchać — mówi Kwiecień.

Tej nocy stojące pod stogami Floriana Dębicy lokomobile nie groziły już żaden sabotaż. Posterunek M. O. z Ługów Wielkich postarali się o jej bezpieczeństwo.

Chyry lis Florian Dębica znow całą noc nie spał. Tym razem gryzł

się i medytował. Będą młodzi — nic na to nie poradzi. Taka młocka to kiepski interes. Robotników opłaca ziarnem, po prostu robią, co im się żywnie podobą. Buntował się, ale nie mógł wymyślić. Jedyna rada — to zgodzić się młócić samemu. Zyska się choć tyle, że maszyna przywieziona na pole cudzą siłą, cudzym kosztem. Trudno mu było powiązać to postanowienie. Dębicowski upór, zacietochwość nie chciały skapitulować — ale stary lis był rozsądny, przynajmniej wtedy, kiedy chodziło o stranie.

Jeszcze przed nastaniem świtu Florian Dębica przyszedł do soltysa i oświadczył, że będzie młócić sam, byle tylko ludzie przyszli do młocki. Około dziewiątej zahuczała olbrzymia młocarnia na Dębicowskim polu.

Po trzech dniach Dębica miał już kwity na odstawę 18 ton zboża. Nie bardzo zachęcen do dalszego uporu jego przewkładem kulacy: Kopeć, Łukasik i paru innych też podwozili większe ilości zboża. Po tygodniu gmina Ługi Wielkie meldowała o wykonaniu planu skupu przez ostatnią gromadę — Słupowice.

Tego samego dnia przyszedł do Floriana Dębicy Bartyla w towarzystwie kilku chłopów.

— Wiecie, Dębica, znalazłem zapalniczkę. Podobna do tej, którą widziałem nieraz u was. Wasza to?

— Rzeczywiście moja.

— To dobra. Dacie chyba coś za znaleźne.

Dębica zblił. Zrozumiał. Zapalniczkę zgubił w remizie.

Wieczorem następnego dnia przed okazałą zagrodę Floriana Dębicy zjechało auto Prokuratury. Skończyło się podkrzykiwanie, jak to mówił Kazik Zieliński.

Wieczór był zimny i wietrzny, ale tu za wysokim ogrodzeniem sadu było zaciszenie i spokojnie. Helka płakała cicho, z ganku dobiegaly soczyste kłajwy Szymka. Stefan trzymał w ręku opuszczone dlonie dziewczyny. Nie patrzyła na niego. Stała ze spuszczoną, zażawioną twarzą, jakby to ona była najwięcej winna wo-

bec Stefana i wszystkich, wobec państwa. Stefanowi żal było Helki, ale nie umiał powiedzieć. Stali w milczeniu.

— Stefku — odezwała się wreszcie dziewczyna — powiedz mi, czy to tak musiało być koniecznie?

— Co?

— No z ojcem. Bo gdyby go nie zmuszali do młocki, nie psułyby maszynę.

Położył jej rękę na ramieniu.

— Wiesz, Helka, to jednak tak musiało być. Ojciec, gdyby nie teraz, to zawsze kiedyś tam indziej zrobiłby to samo. Wróg to jest zawsze wróg.

Rozpląkała się na nowo, szlochała prawie.

— Wróg, wróg, czemu zaraz wróg? To jest takie... prawie że straszne.

Przykro zrobiło się Stefanowi i smutno, żal Helki. Biedna, kochana dziewczyna... Ale co można na to poradzić? Nic.

— Wiesz, Helka — mówił niby spokojnie, ale coś mu się łamało w głosie — Kiedy wszyscy odstawimy zboże, to znaczy, że ono jest bardzo potrzebne, po prostu miastu potrzebny jest chleb. A kto na złość nie chce zboża sprzedać, a potem chce handlować nim — to trudno, to jest wróg i na to nie ma rady. Takich będzie, musi być coraz mniej. Jedni zmadrzeją sami, inni, tak jak twój ojciec...

— Ale co ja jestem winna — szepnęła Helka. — Teraz przecież także mnie będą wytykać palcem: wróg — tak jak to mówisz. I tak mi ojca żal... Przecież ojciec.

Objął ją ramieniem, przytulił.

— Na ciebie nikt nie nie powie — mówił — chyba głupiec. Jesteś przecież moja dziewczyna — nie?

Znowu umilkł. Wiatr tylko pogwiżdzywał w szczelinach między deskami wysokiego plotu.

— Zimno tu — szepnęła Stefan. — Chodźmy gdzie. Może by do świetlicy?

Nie odpowiedziała. Oparła się na jego ramieniu i poszli wolno obychającą na wietrze drogą. Nad skrzężyńskim lasem klebiły się bura chmury.

Bogusław Kogut

Ozimku znalazłem się akurat tego dnia, kiedy zapowiedziano lokalną uroczystość. Z Warszawy przyjechała delegacja robotników z najlepszej budowy (na Grochowie, nie na MDM), aby przekazać miejscowej załodze budowlanej sztandar przechodni za najlepsze wyniki współzawodnictwa w skali krajowej.

Była sobota. Robotę zakończono w południe. W dużej, pięknej sali gimnastycznej nowo wybudowanej szkoły podstawowej zebrał się robotnicy z budów, przyszła delegacja z huty, przyjechali przedstawiciele ministerstwa z Warszawy, z Opola — WRN, ORZZ, ZOR. Przybyła również orkiestra z najbliższej cementowni z młodzieżowym zespołem świetlicowym. Feta zapowiadała się nie lada.

Półtorę godziny siedmiu kolejnych mówców mówiło — każdy na swój sposób — to samo i o wszystkim. Wiał oficjalną nudą na miarę województwa. Sens tego, co się dzieje, przestał już docierać do zebranych. Ludzie zaczęli niecierpliwie — jedni w oczekiwaniu premi, inni — części artystycznej, zabawy.

Na mównicę wszedł jeden z murarzy warszawskich, taki prawdziwy robotniczy z zagłębia budowlanego. Powiedział, że przyjechali przekazać sztandar. Ale niech towarzysze z Ozimka przygotują się zwrócić go w następnym kwartale, bo oni warszawiaci nie dadzą się wyprzedzić. I z mównicy posypały się żywe proste, znajome słowa — o robocie, o budowie. Warszawiak mówił, że oglądał z kolegami budowy w Ozimku, że widać wysoką jakość, że roboty ładna i czysta. Ale można by jeszcze to usprawnić, a tamto przyspieszyć stosując inny sposób. — Posypały się uwagi, rady Murarzy warszawski mówił o socjalistycznym współzawodnictwie; że nie sztuka sztandar zdobyć, że trzeba zdobyć doświadczenia przekazywać sobie wzajemnie, że trzeba wzajemnie uczyć się. I wrócił na koniec do zapowiedzi, że zaczęła się walka Warszawy z Ozimkiem. że warszawiacy wrócą tu odebrać sztandar.

Na sali powstało czymś świeżym. Nuda rozprysła się. Tutejsi — go-

OPOLSZCZYŹNY

spodarze i bohaterowie dnia — poczuli się jakby zaskoczeni. Jeszcze się dotychczas nie spotykali z niczym podobnym. Zawsze zaskakiwało ich, silą wypychano i grabiono — równie dobrze hitlerowicze, jak polski szabrownik. A tu po prostu, po ludzku, po przyjacielsku, socjalistycznie — oddano im uznanie dla ich roboty, powiedziano, co można ulepszyć i zapowiedziano współzawodnictwo.

Zwyczajni zespół liczy 57 osób, kobiet i mężczyzn. 40 tutejszych i 17 przybyszów. — Czy istnieje jeszcze podział? — Tak. Nie ukrywamy tego faktu. Istnieje. Ale wydaje mi się, że to, co zaszło w Ozimku, to była próba zatarcia linii podziału. Delegacja murarzy warszawskich polegała na tym, że katalizator. Tutejsi działają, to jak katalizator. Tutejsi zostali potraktowani poważnie i z uznaniem nie tylko przez swoich starych towarzyszy pracy, ale i przez delegatów ze sławnego zagłębia budowlanego, z Warszawy. To był wyjątek, który waży.

Widziałem, jak po uroczystości majster szklarski zespołu, lubliniak rodem, prowadził do bufetu swojego 18-letniego pomocnika, Ślązaka. Była jakaś nuta serdeczności w tym zaproszeniu „jędzi”.

Te obserwacje odświętne są — rzeczą mniej ważną. Istotne jest to, co się dzieje co dzień. Kierownikiem zespołu jest Brunon Kijas, technik, syn formierza z Zawiercia. Zatrzymał się tu wracając z hitlerowskiego obozu jeńców. Jego prawą ręką jest Józef Przybyła, młody 26-letni Ślązak, rodem z Ligoty Turawskiej, o parę kilometrów stąd. Wrócił on do domu po wojnie z obozu jeńców w Związku Radzieckim. Bo Przybyła w 1944 roku — miał wtedy 19 lat — został na zakończenie krwawej imprezy hitlerowskiej zmobilizowany i posłany na front. Szczęśliwie dostał się do niewoli i pracował w Donbasie. Teraz jest technikiem norm na budowie w Ozimku. Nauczył się tego w Związku Radzieckim. To podobno najlepszy technik norm w całym zjednoczeniu polskim.

Majstrem brygadzią jest 47-letni murarz z Lwowa rodem, Krawczuk. Drugim brygadzią jest Paweł Kochanek, trochę starszy od Krawczuka, tutejszy, z Ozimka. Sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej jest Ślązak.

A więc rozdział? Ludzie brygady budowlanej z Ozimka dogadali się już. Zresztą nie oni jedyni. Takich brygad i takich zespołów, gdzie różnie się zacierają, jest wiele na Opolszczyźnie. Ale na wsi miedza graniczna nie wszędzie została zaorana. Opowiadają — sprawa to dawna, sprzed 4 lat — że jakaś Ślązaczka chciała wyjść za przybysza. Musiała nie lada przeszkody pokonać, wiele forteli zastosować, aby uzyskać zgodę rodziców. Zapewniła, że go wychowa, że go zmieni, że go dostosuje do ich, Śląskiego, stylu życia.

Na wsi dobrane pracują te spółdzielnie, gdzie są albo sami Ślązacy, albo sami przybysze. Razem — roboty nie klei się. Każdy pracuje inaczej. Zresztą — Ślązacy wcześniej poznali się z maszyną. Spychani przez Niemców na jałowe ziemie, wcześniej i lepiej stosowali nawozy. — Ta różnica w rozwoju dziś się odbija.

Zespoły powstają za to w budownictwie. Może tu łatwiej, może język murarzy i środki — narzędzia i maszyny, kolektywny sposób pracy — jest jednakową nowością dla jednych i drugich. Fakt, że tu właśnie się dogadują szybko.

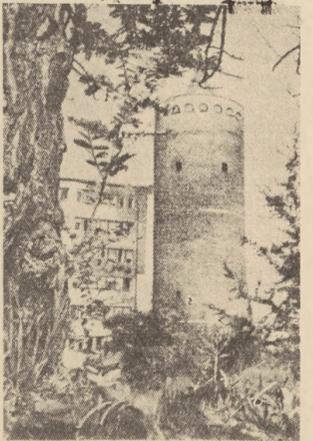
Jest jeszcze jeden moment, który przemawia do Ślązaków. „Awantura” w Ozimku rozgrywała się w nowej pięknej szkole, oddanej do użytku na jesieni ubiegłego roku. Stało się tam do tej chwili 7 nowych, dwukondygnacyjnych bloków mieszkalnych z pełnym wyposażeniem. (Nie liczę odbudowanych to chyba połowa Ozimka). Wybudowano tu ogromną bursę dla młodzieży szkoły hutniczej — jakieś 150 pokoi. W robotcie są dalsze domy, hotel dla samotnych robotników. I ani jednej willi dyrektorskiej. Ale za to dom matki i dziecka. Za to wspaniały, ogromny dom kultury — 40.000 metr. sześciennych — piękna, ogromna inwestycja nie tylko budowlana, inwestycja kulturalna. W skali Ozimka — to prawdziwy Pałac Kultury i Nauki, który Przecie w swoim oryginalnym, warszawskim wydaniu będzie „wszystkiego” 20 razy większy. A Ozimek liczy dziś niecałe 3000 mieszkańców!

Ślązacy widzą to i oceniają. Po ichu konfrontacji z tym, co mówili hitlerowcy. Hitlerowcy mówili dużo o wyższości kultury niemieckiej, mówili o wysokiej stopie życiowej, straszliwych warunkach, w jakich żyją i mieszkają komuniści. Ludowa Polska buduje tu właśnie za przykładem Związku Radzieckiego, właśnie metodami radzieckimi; Polska poprawia tu warunki mieszkaniowe robotnika; Polska stawia tu budowlę, w których kultura będzie się kształtować.

Ślązacy widzą, że się buduje, że się stawia poważne, trwałe inwestycje. Czy dużo? — Wydaje się, że jak na Ozimek — bardzo dużo. — Nigdy tam tyle nie budowano — mówi wice-przewodniczący WRN, poseł polski, tow. Mroczek. Był on zresztą jednym z mówców (tych oficjalnych), który zwyciężając, chłopkiem, śląskim, robotniczkim językiem powiedział, że niepotrzebnie

opowiada się na Opolszczyźnie o budowach w Warszawie, czy Nowej Hucie. „Na to — powiedział — żeby pokazać, ile się dziś w Polsce buduje, nie trzeba wyjeżdżać z Ozimka. Popatrzmy, co się dziś dzieje w tym naszym małym Ozimku, który za tych „dawnych, dobrych” pańskich czasów był nędzną, wegetującą osadą — ile się tu buduje? Czy to procentowo nie jest więcej niż w Warszawie?” — Zmienia się geografia Polski. Ślązak o tym słyszy. Na Opolszczyźnie widzi to. Sam bierze w tym udział.

Inny problem niezmiernie ważny dla tutejszych (dodajmy — nikt z mówców operujących sztabem przemówień tego nie poruszył) — to fakt, że z daleka od wielkich traktów i wielkich osiedli — pracuje zespół ludzi (na pewno nie jedyny), którzy się okazali i zostali uznani za najlepszych w dużej 250-tysięcznej armii robotników budowlanych całego kraju. Ci robotnicy — jedni w resztkach swoich feldgrau, inni w cywilu — zostali naraz postawieni na zawodowym świeczniku. To nie tylko awans zawodowy. To równocześnie przywrócenie do godności tych wszystkich, którzy byli zmuszeni przywdziać niemieckie mundury wojskowe, którzy — pomimo że Cichonie, Kochanki i Przybyły,



Właza piastowska w Opolu (nowoczesny budynek administracyjny zasłania ją zupełnie od strony ulicy).

Właśnie że ich językiem ojczystym nie przestał być polski — byli nazywani Niemcami, albo volksdeutschami. Prawo do polskiego przywrócić im decyzja Rządu. Po nobilitacji formalnej następuje nobilitacja rzeczywista, nobilitacja w pracy, nobilitacja socjalistyczna.

Oczywiście nie jest to proces szybki. Nie łatwo zatrzeć w ich pamięci to wszystko, co się tu stało. W jednym tylko powiecie opolskim odbudowano do dziś 17 mostów (a Odra nie jest tu wąska), 22 szkoły, 3 cementownie, jedną wielką papiernię. Ale za to różnego rodzaju szumowiny i mety przyjechały tu w pierwszej fali osiedleńczej i grabiły ich, nieraz w asyście mełtów, podszycających się pod przedstawicieli władzy.

Ileż tu trzeba zainwestować, aby zatrzeć te złe wspomnienia, ile trzeba pracy, aby wyjaśnić, że to, co się działo, to właśnie produkt ostatniej wojny, że to krajowe resztki szumowin hitlerowskich.

O kres odbudowy trwa na Opolszczyźnie. Równoległe powstają nowe inwestycje. Zmienia się geografia Opolszczyzny. Zamaria przez wiele lat huta w Ozimku rozbudowuje się. Za kilka lat będzie tu spore miasto na zapleczu dużego ośrodka przemysłowego. Rozbudowuje się Kędzierzyn. W Raciborzu powstają dwie nowe zupełnie fabryki — jedna aparatury chemicznej, druga — kotłowni. (To zamiast spalonych w czasie działań wojennych fabryki czekolady).

Byłem w niewielkiej osadzie — Otmęś się nazywa. To tam właśnie Herr Otto, kupiec obuwiany z Opola do spółki z panem Batą wybudował fabrykę obuwia. Na miejscu był tani robotnik, który mieszkał w swojej chałupie. Wystarczyło postawić fabrykę, sprowadzić maszynę i... zgarnąć pieniądze. Na robotników promieniowała magia Złinu i nadzieja, że może kiedyś i oni dostąpią łaski... Łaski nie doczekali. Teraz muszą sami sobie budować. ZOR stawia tu nowe osiedle mieszkaniowe: ponad 300 izb już stoi, stoi już przedszkole, dom matki i dziecka. A budowa trwa. Te nowe czerwone domy, które widać z szosy, nie tylko wyrównują dawny wysoki standard mieszkaniowy pana Otto (ten, który rozwadniał wymowę statystyczną warunków mieszkaniowych na Śląsku) z poziomem mieszkania polskiego, śląskiego robotnika, ale kształtują wygląd osady, zbliżają jej wygląd i charakter do miasta.

Gdy się jedzie drogami pięknymi, zielonego Śląska od miasta do miasta, od zamku do wsi — widzi się niezmienną prawidłowość pewnych stwierdzeń marksowskich. Bogacący się przybysz ze środkowych Niemiec Otto, fabrykant czeski Bata, dziedzic na Próżkowie w Proskau

(potomek dyplomatów austriackich), właściciel wielkich latyfundiów, pan na Turawie de Garnier (do kolekcji jakiś francuski ślad przemarszów Napoleona) — wszyscy oni obśiedli polskiego chłopca na Opolszczyźnie i na jego znoјnej pracy utrwalali swoje fortuny, co miało się równać potęgę Rzeszy. Pokazywali za to temu chłopcu, jak „pięknieje”, jak się „ulepsza” Opole. Na miejsce „starej, rozsypanych się” rudery — zamku piastowskiego w Opolu — postawili nowy, wspaniały gmach Regierungsbezirku. W opolskich warunkach gmach, zapewniający sprawniejszą, skoncentrowaną administrację, pozwolił znieść i zatrzeć jeszcze jeden, jeden z niewielu już śladów polskości tych ziem.

Tuż obok wieży starego zamku piastowskiego, w czasie przebudowy w 1928 r., odkryto dobrze zachowane ślady osady starostwianskiej. Skrupulatni niemieccy archeolodzy przyjechali, porobili zdjęcia fotograficzne, kazali zebrać okruchy i ślady kultury materialnej Słowian, każdy drobiazg pieczołowicie zapakowali... i wywieźli. Na tym samym miejscu, starannie zakrywając ślady starego grodziszca stanął nowoczesny budynek administracyjny. Prawda jak Opole wypiękniło dzięki temu?

Albo te domy na Rynku opolskim, na wprost bardzo pięknego ratusza, który przypomina do złudzenia Palazzo Vecchio we Florencji? Poprzez budowały, popatrzyli kosmopolityczną w wyrazie ceramiką (wygląda teraz, jak skład masarski) — ni jak odczytać ślady jakiegos stylu czy smaku. A Polska Ludowa, odbudowując dziś te domy, spalone w czasie działań, pomimo że pilno, pomimo że roboty wiele — nie żałuje trudu, aby odcyfrować dawny charakter kamieniczek. Stają dziś — jak w Gdańsku — z nowoczesnymi wnętrzami, ale formę odzyskują dawna, tutejsza, jakaś śląsko-opolska. Z taką samą pieczołowitością odbudowuje się Rynek w Raciborzu. Podobnie w Nysie, gdzie zbiera się dokumentację, aby jak najwierniej odtworzyć piękno domów, pamiętających polskie czasy.

A przecież poza rekonstrukcją — stają wszędzie nowe domy, nowe urządzenia społeczne, usługo, kulturalne dla nowych robotników, nowych zakładów, które zmienia ostatecznie charakter zielonego Śląska, tworząc z niego nowy, wielki rejon przemysłowy. Właśnie polski, ludowy, socjalistyczny plan właściwego rozmieszczenia sił wytwórczych w kraju — zamienia ten spychany da-



Renesansowy ratusz w Opolu.

wniej do rzędu kolonialgebietu rejon w okręg, który stanie się jednym z kół napędowych socjalizmu w Polsce.

To co się na Opolszczyźnie dzieje — to nie tylko budowa fundamentów socjalizmu, a więc bazy, która zmieni nadbudowę. Atak idzie z obydwu krańców równocześnie. Zaatakowana jest również nadbudowa. Zaczyna się kształtować ramy dla tej nadbudowy. I dlatego również ważny jest tam nowy zakład produkcyjny, który powstaje, jak odbudowywane na rynkach miast kamieniczki, nowe domy kultury, teatr i muzeum.

Andrzej Wróblewski

P. S. Byłem niedawno na Grochowie. Spotkałem towarzysza, który był z delegacją w Ozimku. Powiedział żartowicie, że załoga Ozimka zatrzymała sztandar na drugi z kolei kwartał. Jeszcze jedno zwycięstwo i zachowają sztandar na własność. Pieruszeństwo zostanie odebrane Warszawie. Ale przyjmijcie, że przechodzi w ręce tych, którzy budują nowe życie na Opolszczyźnie.

Pozdrowienia z Warszawy dla towarzyszy z Ozimka!

MARIAN BIELICKI

W TRZECIĄ ROCZNICĘ AGRESJI AMERYKAŃSKIEJ NA KOREĘ.

Korea płonie

A tak na terytorium na północ od 38 równoleżnika będzie podjęty jedynie na mój wyrazny rozkaz” — oznajmił szef misji wojskowej

USA w Korei, gen. Roberts, przemawiając 2 września 1949 r. (dzieśnię miesiąc przed wybuchem wojny) do wyższych oficerów lisymanowskich.

Robertsowi wtórował „krwawy starzec” pisząc:

„Jestem przekonany, że obecnie istnieje najlepszy moment psychologiczny, aby przystąpić do ataku i skończyć z Phenianem. Pan i obaj nasi pełnomocnicy w Waszyngtonie i New Yorku, oraz my tu w Seulu i Tokio musimy razem pracować nad osiągnięciem jednego celu: aby rząd amerykański pozwolił nam wreszcie zacząć” (z listu Li Synmana do dr Roberta T. Olivera z dnia 30 października 1949 r.)

25 czerwca 1950 roku rozkaz został wydany. Zaczęła się wojna nie-ludzka, wojna amerykańska.

Było niegdyś piękne miasto Phenian. A dziś nie ma miasta Phenian na powierzchni ziemi. Są tylko po stokroć zryte bombami ruiny. Miasto jest pod ziemią. W skalnych korytarzach huca obrabiarki. W oszklonych jasno podziemnych szkołach uczy się dzieci. Inny jest dziś Phenian, inne jest jego życie.

Z Biąłego Domu i Pentagonu płyną rozkazy: zniszczyć, zabić, zamordować. Na głowy starców i dzieci, kobiet i niemowląt spyla

się bomby — wybuchowe i termowe, fosforowe i napalmowe. Kat Korei Nr 2 — Ridgway nawoływał: „Terytorium i jego właściwości to przemijające zjawiska, które należy jak najszybciej zniszczyć. Na obszarze nieprzyjacielskim nie wolno pozostawić ani jednego budynku, wiaduktowi ani drzewa. Strategia nowoczesna polega na niszczeniu wszystkiego”.

„Czy widzieliście, jak ginie naród? W naszym wieku siła i tempo śmierci może być równie szybka jak straszliwa — pisał korespondent Associated Press Boyle w raporcie zamieszczonym w „New York Post” — Stało się to w Syn-dzu. — We wtorek jeszcze było to miasto o 100-tysięcznej ludności, położone na koreańskim brzegu rzeki Jalu, odgraniczającej Koreę od Mandżurii. O godzinie 12 min. 30 z miasta bombardowanego bombami zapalającymi i butzycami o łącznym tonażu ponad 600 ton zostały gruz i zgłiszczona. Przelatując nad miastem... widzieliśmy, że cała ziemia na dole była zryta lejami i szerniała od pożarów. Wszystko wydało mi się jakimś koszmarnym snem z czasów dzieciństwa.”

Tyle jeden amerykański dziennik o jednym bombardowaniu jednego miasta. A takich nalotów były setki, a takich bombardowań były tysiące.

To jest wojna amerykańska. To jest amerykańska wersja „Totalvernichtung”. To jest amerykańska strategia i taktyka. Skoro naród ko-

reański nie chce amerykańskich kajdan — trzeba go zniszczyć. Skoro ziemia koreańska nie chce się poddać, trzeba ją zamienić w bezludną pustynię, w krainę śmierci. „Trzeba zabijać północnych Koreańczyków i Chińczyków jak najwięcej” — wolał Ridgway. I gangsterzy plawili się w krwi. Gangsterzy zdobywali miasta, które Mac Arthur zachwalał: „Przed wami bogate miasto, wszystko w nim należy do zwycięzców”. Gangsterzy gwałtili i rabowali, palili i burzyli.

Ale stałe rosły siły zbrojne ludu koreańskiego. Spieszyli mu z pomocą bracia z Chin. Straty wojsk amerykańskich do dnia 25 października 1951 r. wyniosły 180.000 zabitych. Straty ogólne wojsk napastniczych w ciągu półtora roku wojny wyniosły ok. 780.000 ludzi. W ciągu dwóch prawie lat (do maja b.r.) interwencji stracili 3.000 samolotów, 3.000 czołgów i samochodów pancernych, 180 okrętów.

Łzy wysychły w oczach koreańskich matek. Zastygły w nich ból. Skamieniały ich serca. Nie o miłości śpiewają dziś koreańskie dziewczyny, ale o gniewie do wioga. „Stwardniała dusza mego narodu” — mówiła Pak Den Ajn w warszawskim Kongresie Obrońców Pokoju.

A teraz inna wypowiedź: „Uważam, że powinniśmy prowadzić totalne przygotowania do wojny, kierując się prawem dzungli. Każdy powinien nauczyć się sztuki zabijania. Nie sądzę, aby wojna miała się ograniczyć do działań w powietrzu, loty wojennej i lotnictwa. Nie powinny być tworzone żadne ograniczenia w wyborze metod czy broni zniszczenia. Ja bym usprawniła prowadzenie wojny bakteriologicznej, stosowanie gazów, bomb atomowych i wodorowych, rakiet międzyplanetarnych. Ja nie byłbym zwolennikiem miłosierdzia wobec szpitali, szkół, kościołów czy też wobec jakiegokolwiek bądź grupy ludności cywilnej”.

Te słowa rektora Tampa-University, prof. Nuns, to nie tylko jego osobisty światopogląd, nie jego osobista „filozofia zabijania”. To sens i treść tego co się dzieje w Korei. Gorączka tyfusowa, żółta febra, dżuma... 28 stycznia b. r. sztab Ridgwaya wydał rozkaz masowego stosowania broni bakteriologicznej — liczył na czarną śmierć, by nad pustynią, spopioloną ziemią zapołać gwiazdzysty sztandar. To była nowa stawka Waszyngtonu, lecz personel sanitarny Koreai ruszył na pomoc zagrożonemu życiu dzieci. Tylko gdzieś gdzieś milknął w chałupach wieczorny śpiew matki nucejącej kołysankę swemu maleństwu. Koreańscy lekarze i pielęgniarki udowodnili, że nie śmierć życie, ale życie śmierć zwycięża.

Wreszcie przyszły wydarzenia w Kozeodo.

Punktem dowodzenia amerykańskiego generała Boatnera stała się wieża strażnicza w obozie jenieckim, z której rzuca on hasło uzbrojonym w czołgi i miotacze ognia sześciu tysiącom żołnierzy „szturmujących” bezbronnymi jeńców: „Zaczynamy, gentlemen! Skoro ma być przelew krwi, przecież to jest wojna!” I płoną w barakach ludzie za to, że chcą wracać do swej ojczyzny, za to, że nie chcą stać się poparciem amerykańskiej tezy o „dobrowolnej repatriacji”, którą szermują agresorzy w Panmun-dzon, aby sparałizować rokowania o rozjeź. A Kozeodo — „wyspa śmierci”, gdzie zginęło już w masowych egzekucjach, na szubienicach, w laboratoriach doświadczalnych, pod ogniem karabinów maszynowych z górą 7.000 jeńców, to przecież tylko jeden z dziesiątków obozów, jakie utworzyli Amerykanie na okupowanej ziemi koreańskiej.

„Śmierć i zagłada Krew i cierpienia Oto co dzisiaj znaczy — Ameryka...”

— wola poeta-żołnierza Koreańskiej Armii Ludowej Kim-San-O.

Chociaż jasne, przejrzyście wody Aumoganu. Tumoganu i tyłu innych rzek koreańskich niosą dziś ku morzu łzy i krew Korei, Korea walczą. Korea gromi wrogów.

„Wojna, która nam narzucono — mówił nazajutrz po napasii, 26 czerwca 1950 r., premier Kim Ir-sen — jest sprawiedliwą wojną o zjednoczenie i niepodległość ojczyzny, wojną o wolność i demokrację. Musimy walczyć do ostatniej kropli krwi, nie szczedząc życia za ojczyznę za naród”.

Przeciw interwentom walczą cały naród i na froncie, i na zapleczu, nawet tam gdzie panuje taki terror, że samo podejście o sympatie demokratyczne wystarczy, by wydany został rozkaz egzekucji.

Korea nie walczy sama. Przyni jej z pomocą bracia z Chin. Słowo Korea — jednoznaczne ze słowem bohaterstwo — jest dziś na ustach wszystkich ludzi miłujących pokój. Bo przez Koreę przebiega pierwsza linia walki o pokój i szczęście ludzkości przeciw jej najzacieklejszym wrogom.

Marian Bieliński

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

BUDOWLE PLANU W REPORTAŻACH

K ończoność reporterskiej dokumentacji naszych wielkich osiągnięć przemysłowych i budowlanych jest zupełnie oczywista. Należy gorąco przyklasnąć inicjatywie „Książki i Wiedzy”, która przystąpiła do publikowania serii broszur pod ogólnym tytułem „Wielkie Budowle Planu Sześciolecia”. Seria ta winna dostarczyć najmniej po jednym reportażu z każdej wielkiej, a nawet tylko większej budowli planu sześcioletniego — wtedy zadanie jej będzie wypełnione.

W tym roku ukazały się cztery broszury. Tadeusza Kurka „Woda dla Śląska” — o budowie zapory wodnej w Goczałkowicach, Bohdana Ostromeckiego „Narodziny miasta” — o budowie Nowych Tych, Janusza Weyrocha — „Chemia i Wielki Czarodziej” — o zakładach chemicznych w Dworach oraz Jerzego Rosa — „Stalowe źródło siły” — o hucie stali w Częstochowie.

Ocena tych reportaży musi być dokonywana w imię pewnych kryteriów. Najważniejsze zadania każdej z takich broszur to — po pierwsze: rzetelność informacji; współczesny czy przyszły czytelnik winien otrzymać sumę konkretnych informacji rzeczowych, które pozwolą mu wymyślić sobie zakres budowy, przy czym informacja ta nie powinna gubić się w mnogości chaotycznie zgromadzonych cyfr, ale rejestrować najbardziej ważne, takie tylko, które określają wyraźnie wielkość i sens budowy w stosunku do innych tego rodzaju polskich pozycji przemysłowych. Po drugie: należyce wyjaśnienie i udokumentowanie znaczenie budowy dla gospodarki państwowej z ukazaniem perspektywy rozwojowych danego problemu przemysłowego w skali ogólnokrajowej. Po trzecie: — wiarogodnie przedstawiony problem ingerencji budowy zarówno w życie jej twórców, jak i w byt całego miejscowego społeczeństwa; w jakim stopniu budowa polepszy, w jakim przekształci i zmieni losy ludzi żyjących wokół obiektu, czy w ogóle los ludzi w całym kraju.

Wreszcie, po czwarte — broszury winny rejestrować obiektywne trudności pojawiające się przy uruchamianiu obiektów; oczywiście nie te drobne, ale te zasadnicze, poważne, które wszędzie występują, których przezwyciężanie jest właśnie dowodem naszej siły i cechą wielkości naszej rewolucji, a bez zanotowania których obraz osiągnięć wychodzi wręcz złudnie i zarówno dla współczesnych jak tym bardziej dla przyszłych czytelników jest on po prostu nieprawdziwy.

Jeżeli te cztery zadania zostaną przez broszurę wypełnione — spełni ona swą rolę. I jeszcze jedno. Dobra „literackość” jest okrasą dokumentarnego tekstu, jednak dla podła, tandetna jest tak trudna do zniesienia, że lepiej już, by autor ograniczał się wyłącznie do roli sprawozdawcy-informatora. Było to wypełniał rzetelnie.

Kazimierz Koźniewski

Warunek drugi: budowa jako problem ogólnonarodowy, ogólnopaństwowy. Niestety — może poza jednym Weyrochem, który próbuje ustawić Dwory w łańcuchu naszego chemicznego przemysłu — inni autorzy nie podejmują się poinformować czytelnika ani o znaczeniu „Kościuszkii” w całości przemysłu metalurgicznego, ani o znaczeniu zapory w Goczałkowicach dla gospodarki Śląskiej, (gdź chaotycznie „obrazki” literackie nie zastąpią jednak informacji); ani o ogólnym zakresie budownictwa mieszkaniowego w Polsce.

Sprawa trzecia: „ludzki” sens budowy. Najbardziej pod tym względem prezentuje się broszura Weyrocha, w której sprawy ludzkie, zarówno na terenie Dworów jak całego kraju, zostały potraktowane zdawkowo i plakatowo. Najlepiej poradził sobie z tym zagadnieniem Ostromecki, ale też budowa osiedla mieszkaniowego, rowego miasa daje ku temu dobrą sposobność. „Literackość” dokumentu Ostromeckiego jest w dobrym gatunku. Kurkowi jego zły nawyk rysowania „obrazków” zamiast rzetelnej informacji i tym razem też nie wyszedł na dobre. W broszurze Rosa sprawa jest bardziej skomplikowana: załatwia on dość schematycznie przekształcanie się człowieka na wielkiej budowie, ale za to bardzo prawdziwie, bardzo mądrze potrafi pokazać, jak sama budowa wpłynęła na zasadnicze polepszenie losu robotników częstochowskiego przedmiścia.

Natomiast żadna z tych czterech broszur nie wypełnia warunku czwartego. Nie są one w żadnym wypadku dokumentem trudności naszego czasu. A tym samym wielkość naszych dni nie jest w nich udokumentowana w należyty sposób.

Broszury wyżej omówione mogą być lepsze czy gorsze. Ich rola właściwa zostanie dopiero wtedy wypełniona, gdy za tymi czterema pojawiają się dalsze, w ilości bodaj że kilkuset; wzięta razem całość cyklu „Wielkie Budowle Planu Sześcioletniego” stanie się bardzo wartościowym dokumentem obrazującym sumę naszych osiągnięć.

Kazimierz Koźniewski

*) Wielkie Budowle Planu Sześcioletniego. Cykl reportaży. „Książka i Wiedza” 1951 — 2.

czytajcie i prenumerujcie

Prasa Radziecka.

Ukazał się Biuletyn Nr 2 ZYDOWSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA PPR (dokumenty). Sz. HUBERBAND — Źródła do historii Żydów w krajach słowiańskich ze specjalnym uwzględnieniem Polski i Rosji. E. KUPFER — Pinkas Bractwa Pogrzebowego i Dobroczynnego w Zamościu. E. RINGELBLUM — Notniki z getta warszawskiego (od 1.IX.1939 r. do 1.I.1941 r.). J. SANDEL — Maurycy Trębacz. Do nabycia w Żydowskim Instytucie Historycznym, Warszawa, Al. Swierczewskiego 79. Cena zł 3. K 4720-1

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

WACŁAW SĄDKOWSKI (Rola)

Trylogia Harald Herdala*) Przypomnienie Anteusza

Trylogię Harald Herdala można nazwać czymś pośrednim pomiędzy powieścią autobiograficzną a pamiętnikiem ex post napisanym. Autorem relacji jest syn kopenhaskiego robotnika; jej treść to wspomnienia i przeżycia trzech okresów rozwoju i zrastania bohatera: dzieciństwa, młodości i lat męskiego dojrzenia.

Pamiętnikarski, a więc przede wszystkim osobisty charakter trylogii nie pozbawia jej przecież szerszego i ogólniejszego znaczenia. „Wydałem mi się — mówi autor pamiętnika — że na moim miejscu mógł być ktokolwiek inny. Mogę opowiadać o sobie, tak jakby to był ktoś inny, bowiem my wszyscy mieliśmy podobne życie i doświadczenia... My wszyscy — oznacza to: synowie rodzin proletariackich w ustroju kapitalistycznym — w Danii i poza Danią.

Stwierdzenie Herdala o uogólniającym charakterze jego wspomnień jest ważne i słuszne, zwłaszcza w odniesieniu do pierwszych dwóch części trylogii. W ich treści znajdziemy tak wiele znamion i rysów typowych, że tutaj watek subiektywny i osobisty przekształca się w materię epicką o dużej wartości społecznej.

Peter Jensen, tak brzmi nazwisko bohatera trylogii, jest dzieckiem inteligentnym i wrażliwym, ambitnym i spostrzegawczym. Syn dozorczyń w wielkim domu czynszowym, zamieszkiwanym przeważnie przez rozmaitych lokatorów, wcześniej rozpoczyna edukację w szkole klasycznej doświadczając, poznając dokładniej istotę różnic między bogatymi a biednymi. „Miałem stąd przede oczami kontrasty i wrażliwość je zauważyłem... Różnica rzucała mi się codziennie w oczy. Ci inni byli bogaci; my biedni. To było takie proste i zrozumiałe. I to znaczyło: ci inni mogli się z nikim i niczym nie liczyć, my — biedni i mali — musieliśmy się zawsze liczyć z nimi...”

W innym miejscu pamiętnika czytamy: „Gdybym był biednym dzieckiem wśród innych biednych dzieci, nie byłoby mi tak źle. Ale ciężko być jedynym biednym dzieckiem wśród dzieci zamożnych...” Życiowa trafność tej uwagi jest uderzająca. Dzieciństwo małego Jensena przyniosło mu nie tylko wiele przykrości, rozczarowań i upokorzeń, lecz — co gorsza — wyhodowało w nim fałszywe, bolesne jednak, poczucie niepełnowartości, które kula u nogi zaciążyło chłopcu w dalszym rozwoju jego osobowości.

Lata szkoły podstawowej, utrzymywanej z królewskiej łaski dla biedaków, to dalsze pasmo duchowej i fizycznej udręki. „Nauka” w tej — poza się Boże — szkole polega nie na kształceniu i rozwijaniu zdolności i zainteresowań uczniów, lecz na systematycznym tłumieniu i niszczeniu ich wartości osobistych. Integralną częścią „systemu wychowawczego” były wyniszczenia, pogroźki, nawet — bicie oraz protekcja, okazywana liżusom i matolkom bez charakteru.

Po skończeniu szkoły — Peter wstępuje jako terminator do zakładu szkatułarskiego, gdzie może łatwo pogłębić i poszerzyć swą edukację klasową. Pracując parę lat jako warsztatowe popychadło, poznaje z bliska i do końca, na czym polega ten stosunek przedsiębiorcy do najemników różnej kategorii. Wśród robotników zakładu są i tacy, dla których istota tego stosunku — organiczna sprzeczność między kapitałem a pracą — przestała być od dawna tajemnicą.

W tym otoczeniu świadomość chłopca wrażliwa i dojrzała. Zaczynają się też w nim budzić ambicje artystyczne. Pociąga go malarstwo, rzeźba, poezja — wszystko co piękne, doskonale i odmienne od szarej, dokuczliwej egzystencji podrośka, będącego „tylko synem dozorcy”.

Peter porzuca pracę terminatora i postanawia iść własnymi, innymi drogami. Wiek młodzieńczy usposabia do marzytelstwa, samotnictwa, buntowniczych, nieuswiadomionych porwów. Borykając się z nędzą, czepiając się różnych krótkotrwałych zajęć zarobkowych, młody Jensen nie rezygnuje ze swych ambicji artystycznych. Spędza bezrobotny czas w bibliotekach, muzeach i galeriach sztuki, szuka znajomości poetów i malarzy, sam pisze wiersze, których drukować nikt nie chce.

Wśród doświadczeń życiowych młodego Jensena jest i wczesne, niezbyt fortunne małżeństwo, zakończone rozstaniem i zetknięciem się ze społecznym „dnem” w jakichś straszliwych domach dla bezrobotnych i gorycz „filantropijnej” pomocy — jest niemal wszystko, co składa się na pojęcie nędzy, głodu i bezdomności.

Nadchodzi jednak chwila, gdy Peter Jensen postanawia odnaleźć „drogę powrotu do swojej klasy” — do klasy robotniczej, będącej jedyną siłą zdolną zmienić i wyprostować życiowe losy tysięcy i milionów takich jak Jensen synów proletariackich Pierwszy krok na tej drodze powrotu — to postanowienie: „Konieć z samotnością... Nie wolno żyć z światem. To zabija, wyjął wia i niszczy...”

Peter nawiązuje kontakty z partią komunistyczną, chodzi na wiece, studiuje Marksa i Lenina. „Powoli, bardzo powoli — wyznaje autor pamiętnika — dopracowywałem się ideologii. Minęło wiele lat, zanim istotnie stanąłem w szeregu, aby wziąć udział w walce”. Zdobywając nowy, jasny i prawdziwy pogląd na świat, Jensen „szczęśliwie uniknął dorożki, wiodącej ku wieży z kości sionowej...” I to było niewątpliwie najważniejsze dla człowieka, który praca pisarską służyć chciał wielkiej wspólnej sprawie, nie zaś celom osobistej kariery.

Trylogia Herdala nacechowana jest niezwykłą szczerością wypowiedzi, przypominającej pod tym względem „Wyznania” Rousseau. Autor sięga do najbardziej nawet intymnych przeżyć dzieciństwa i wieku chłopięcego, by w ten sposób zarysować jak najdokładniej i wszechstronnie przebieg psychofizycznego rozwoju bohatera trylogii. Herdal posługuje się przeważnie stylem bardzo lapidarnym, pełnym, skrótów i uproszczeń, a pozbawionym niemal zupełnie podstępów i ornamentów słownych. Mimo to znajdujemy w tej trylogii partie przepojone głębokim, niesfałszowanym liryzmem. W trzeciej części historii Jensena można by wykrzyknąć zapewne nieco romantycznie-cierpiętniczej pozy, lecz taka stylizacja odpowiada właśnie stanom duchowym bohatera w młodzieńczym okresie „burzy i naporu”.

Lektura trylogii Herdala nasuwa pewne analogie ze znanym cyklem powieściowym Martina Andersena Nexö („Pelle-Zwycięzca”, „Czerwony Morlen” i „Stracone pokolenie”). Te analogie polegają nie tylko na zbieżności czasu i miejsca akcji obu cykli, lecz przede wszystkim na podobieństwie socjalnego oblicza oraz dążeń i celów życiowych Jensena i Morlina. Morlin — to starszy brat i prekursor „syna dozorczyń” z trylogii Herdala. Nie jest to głośno twierdzenie, skoro autor wspomni — w ich zakończeniu — z najwyższą sympatią i szacunkiem wyznacza nazwisko Andersena-Nexö, jako jednego z tych starszych pisarzy duńskich, którzy przyjęli go do swego grona i służyli życiową radą i pomocą.

Ale obok podobieństw są i różnice. Najważniejszą z nich jest ta, że podczas gdy Andersen-Nexö szeroko maluje obraz politycznego i gospodarczego życia Danii, czyniąc zeń fundament swej koncepcji powieściowej, u Herdala, jeśli pominiemy pewne konkretne szczegóły, tu i ówdzie rozsięte, sprawy politycznej i gospodarczej rzeczywistości duńskiej stanowią raczej skromną i nie rozległą przybudówkę. Kilka zdań... na temat pierwszej wojny światowej, parę ostrych i słusznych wypadów przeciwko oportunistycznej i zdradzieckiej polityce socjal-demokracji, wzmianka o jakiejś brudnej aferze bankowej, w którą zamieszani byli duńscy dostojnicy państwowi — to bodajże wszystko, co ta przybudówka mieści.

Poza tym wspomnieć należy, że w powieściach Andersena-Nexö nawet postaci drugoplanowe i epizodyczne odznaczają się na ogół pełnią i wyrazistością indywidualnego zarzutu. U Herdala natomiast, prócz wycienionego starannie i szczegółowo wizerunku autora wspomnień, pozostałe występujące w nich osoby potraktowane zostały szkicowo i pobieżnie, wyjąwszy jedynie matkę Jensena, która ma dokładne i wyraźne kontury osobnicze.

Przekład trzypłomowego dzieła Herdala jest niewątpliwie pracowity, lecz nierówny: miejscami poprawny i gładki, gdzie indziej — chropawy i budzący zastrzeżenia. Jak ię wydaje, zawiwała w tym niejedno dość dbała korekta. Jako przykład potknięcia tłumaczeniowego przytoczę taki charakterystyczny — dość zabawny — casus. Na stronie 180-iej tomu II, Peter Jensen rozmyśla: „Jeszcze są rzeczy, które muszą wypełnić: odслужи służbę wojskową, ożenić się, wydać na świat d...”. Jak ucy odwieczne i powszechne doświadczenie, „wydawanie na świat dzieci” jest przyrodzona funkcją kobiety i żaden mężczyzna nie potrafi jej w tym zastąpić. Chodziło w danym wypadku o użycie innego czasownika; tłumacz nie potrafił się go doszukać. Z podobnym brakiem leksykologicznym odkrywczości spotykamy się w naszej literaturze przekładowej aż nadto często.

Bolesław Dudziński

„Myślałem, że przygodny wietrzyk poruszył starym liściem — a to wyfrunął pierwszy motyl. Myślałem, że w oczach mi się mieni — a to ukazał mi się pierwszy kwiat”.

Zdania zacytowane powyżej tylko z pozoru nasuwają podejrzenie o estetyzm i pięknoduchostwo — ale chyba właśnie dlatego, że w każdym zdaniu o pięknie przyrody, w każdym estetycznym zachwycie skłonności się zaraz dopatrywać aż takich przykrych cech, najbardziej domaga się rewizji, protestu, ataku przy okazji omawianej tu książki*). Doprawdy, warto i należy jej prowokującą i inspirującą do przemyśleń wymową. Książka Michała Priszwina wyróżnia się bowiem prawdziwą wrażliwością i niezwykle przekonującym odczuciem piękna przyrody, które i naszych pisarzy prosi o więcej uwagi. Piękno radzieckiego kraju znalazło w niej świetny, subtelny i bogaty obraz, na który składa się szereg świetnych miniatur — jak choćby zacytowana na wstępie — przetkanych momentami szerszej, rozleglejszej panoramy i sumujących się w pewien obraz ogólny, bogaty w problematykę intelektualną i skłaniający czytelnika do ważkich przemysłów ideowych.

KARTKI Z DZIENNIKA NATURY

Chyba właśnie na tym polega charakterystyczna cecha metody pisarskiej Priszwina, zaprezentowanej w jego ostatnio wydanej książce, metody innej niż zastosowana we wcześniejszym „Korzeniu życia”, który stał na pograniczu pewnej beletrystycznej konstrukcji. „Kropki z drzew leśnych” — to książka gatunkowo inna: składają się na nią zapiski dokonywane — według zwierzeń autora — na gorąco, właśnie — kartki z dziennika natury, pozornie luźne i nie powiązane z sobą wzajemnie, w rzeczywistości zaś nader starannie opracowane artystycznie, urzekające oszlifowaną mistrzowską pracą poetycką (szkoda, że przekład

*) Michał Priszwin: Kropki z drzew leśnych Z notatnika. Tytuł oryg. r. s. „Leśna Kapiela”. Przeł. Czesław Jędrzejewicz. Kłobucki. PIW, Kraków 1951. Str. 207 i 3 nb.

tu i ówdzie zbrzytnie), wyraźnie grawitujące ku poematowi.

Na jakiej zasadzie oparte są te wewnętrzne porządki i rygory scalające poszczególne artystyczne całości? Przede wszystkim na zasadzie treściowej; wewnętrzne społonia notatkowych zapisków Priszwina — to przede wszystkim jakas jednolita postawa wobec przyrody, jej rozumienie i interpretacja, przeniesienie opisywanego zjawiska „przez ciebie gay uczynnym wnikać w życie jednego wosennego strumyka, to się okazuje, iż całkowicie można je zrozumieć tylko pod warunkiem, że się poprzez siebie samego zrozumie życie całego wszechświata” — powie o tym pisarz i będzie się do tej zobowiązującej tezy ściśle stosował w całej swojej książce, przy wszystkich najbardziej nawet miniaturach migawkach zdjętych z natury, z których sens sędzi w ogólnych przemysleniach, wnioskach i atoryzmach. Ale największy jej urok — to właśnie miszrzkowskie, przekonujące poparcie tych zdań skierowanych do czytelnika, „wprost” — szeroko rozbudowaną argumentacją spostrzeżeń przyrodniczych.

Od takich miniatur przechodzi pisarz do obrazów i spostrzeżeń ogólniejszych. Iż na przykład jest w książce szczerego i przenoszącego się na czytelnika bez reszty zachwytu dla piękna przyrody i ludzi w jego ojczyństwie kraju! Albo też ileż tego wzruszenia i miłości odczytamy w pięknych obrazkach zatytułowanym „Hektor i Andromacha” i przedstawiającym wczesny ranek nad sadzawką. Zrazu na plaży jest pusto, pisarz jest zupełnie sam. Ale oto nadchodzi ludzkie:

„Głosi się zbliżyły. Ukazał się młody, dziarski wojskowy z rocznym dzieckiem na ręku. Oto nowa Rosja, nowy kraj, odnowiony naród. W dawnej Rosji nikt nie widział młodego wojskowego z niemowlęciem na ręku: niemowlę zawsze dźwigała nieszcześna kobieta. Lecz nie dość tego: obok Hektora idzie jego Andromacha, bez najmniejszego skłopotowania, może nawet z dumą wystawiającą swoją ciężarą brzuch...”

Wszystko to sprawia, że przekład Priszwina przywraca naszą wiarę w wychowawcze, twórcze wartości literatury „przyrodniczej”, tak często wykorzystywanej w przeszłości dla czystej, beztreściowej egzotyki. Bo Priszwin — to nie bierny obserwator, ani tym bardziej nie pięknoduchowski kontemplator piękna przyrody, ale pisarz umiający spojrzeć na nie i ukazać je w głębszych, słusznych perspektywach.

PERSPEKTYWY

MYSŁIUCIELA I HUMANISTY

Wyznanie o strumyku i wszechświecie, które cytowałem przed chwilą, wyznaje o tym, że rozumienie wszechświata warunkuje rozumienie strumyka — zobowiązuje pisarza w całej książce. Priszwin daje w niej wyraźną odpowiedź na pytanie podstawowe dla właściwego rozumienia i właściwego stosunku do przyrody — jakie jest w niej miejsce człowieka? Przypomnijmy najprzód sformułowanie klasyka filozofii:

„Tak więc na każdym kroku przekonujemy się, że bynajmniej nie panujemy nad przyrodą jak zdobywca nad obcym ludem, jak ktoś stojący ponad przyrodą, ale że należymy do niej ciałem, krwią i mózgiem, że nie wewnątrz niej znajdujemy i że całe nasze panowanie nad nią polega na tym, iż w odróżnieniu od wszystkich pozostałych stworzeń możemy poznać jej prawa: prawidłowo je stosować”. (Engels „Rola pracy w procesie ucłowieczenia małpy”).

A teraz niech przemówi artysta: „Przecie my, ludzie, idąc naprzód przez miliony lat, traciłmyśm zdolności pozwalające pływać, latać albo tkwić jak liście na trzonkach przytwierdzonych do potężnego pnia drzewa, albo pełzać po cienkich lodogach roślin kołysząc się od wiatru, krząć w powietrzu jako puszek nasienny, przyszyć w powietrzu zarodnikami; byliśmy wszystkim, a utraciliśmy rzeczy tak piękne, że pragniemy znów je posiadać I tylko dlatego, żeśmy spokrewnieni z całym światem, możemy siłą braterskiej uwagi przywracać łączność powszechną”.

Oddajmy na powrót głos klasykowi filozofii:

„Tylko człowiek dokonał tego, że wyrwał na przyrodzie swoje piętno, nie tylko przenosząc poszczególne gatunki roślin i zwierząt, ale także zmieniając wygląd i klimat swojej miejscowości, a nawet zmieniając rośliny i zwierzęta do tego stopnia, że skutki jego działania mogłyby zniknąć jedynie z ogólnym obumarciem kuli ziemskiej” (Engels, Wstęp do „Dialektyki przyrody”).

I niechaj znów przemówi artysta: „Jest rozum, którym kierują się wszyscy w naturze. Przemijają go od przodków: jedni już w łonie matki, ażeby wyszedłszy na świat stanąć od razu na czterech nogach i wyćinać wargi do sutków, druidy zdobywając go w gnieździe, ażeby potem bez żadnej nauki rzucić się w dół i latać, ten powszechny, iok gdyby wsteczny rozum całej przyrody natrafia na postępujący rozum ludzki...”

Ten dwugłos filozofa i pisarza uwydatnia aż nadto wyraźnie, jak w książce Priszwina sugestywnym językiem sztuki wyrażone są generalne prawdy światopoglądowe. W „Kropkach z drzew leśnych” nie znajdziemy bowiem nic z mitologizowania i absolutyzowania przyrody, nie znajdziemy ani jednej taniej lęki, o którą tak łatwo w wielu książkach o tej tematyce —

Priszwin to gospodarz w świecie przyrody, pewny swego do niej praw, rad z jej bogactwa — ale gospodarz wrażliwy na całe jej skomplikowane, niepowtarzalne, subtelne piękno.

Radość, którą pisarz znajduje w przyrodzie, w jej bogactwie i pięknie, ma ogromne znaczenie dla człowieka: poszerza go i wzbogaca, uspokaja i wzmacnia. „Wiele piękna widzę w tych brzozech — mówi Priszwin — i często rozmyślam o drzewach, które istnieją niezależnie od mnie, a nawet poszerza moją własną duszę, gdy się do niego zbliżam”.

ZADANIA I PRACA PISARZA

Stopniowy proces intelektualnego opanowywania nagromadzonego materiału pisarskiego prowadzi Priszwina także do bardzo ważkich i interesujących przemyśleń i wniosków o samej pracy pisarskiej, jej właściwościach i charakterze, a także — i to może przede wszystkim — o jej społecznym zadaniu. Autor „Kropki z drzew leśnych” swoje pisarskie zadanie przedstawia niesychanie lapidarnie, ale zawarliście w nim chyba rzeczywiście istotę zadań pisarza radzieckiego.

„Gdy sobie przypomnę dawną wieś przęznącą w gnoju, zasmarkaną, zaniedbaną dzieci, pijaków pasoczytujących na pracy kobiet... to mi się wydaje, że trafił do nieba!” — powie o swym kraju z dnia dzisiejszego Priszwin. Toteż i swoje pisarskie zadanie sformułuje krótko: „Jestem pełen szczęścia, chciałbym wszystkim otworzyć oczy na to, że człowiek mógłby żyć pięknie, oddychać takim słonecznym mroźnym powietrzem, patrzeć na lilie, słuchać i odgadywać ich muzykę...”

„Przez dziesiątki tysięcy ludzi żyli na ziemi, gromadzili i kolejno przekazywali sobie radość, ażebyś ty przyszł, podniósł ją, zebrał w peckli jej strzępy i ucieszył się. Śmielej więc, śmielej...”

To szczęście udziela się przy lekturze książki także i czytelnikowi polskiemu jako zapowiedź, jako obraz tej przyszłości, której pragnie i o którą walczy. Dla nas więc szczególnego znaczenia nabiera jeden ze szkiców Priszwina, od obserwacji drapieżnika w przyrodzie dochodzący do ogólnej przestrogi. I zgadzamy się z pisarzem, rozumiemy go doskonale, kiedy mówi: „Walka trwa i w tym trwaniu zdążyła zapłodnić się życie i moja świadomość...”

Myliby się ten, kto szukałby w „Kropkach z drzew leśnych” kwiaty-zmu.

Moment zadumy, zastanowienia nad własną sztuką pisarską rodzi w książce Priszwina szereg ciekawych wyznań.

„Bajka — to chwila statecznej równowagi ducha i ciała. Bajka — to łączność z tym co przychodzi i z tym co odchodzi. Obmyślam bajkę o budowie kanału Białomorskiego i patrzę na Most Kamienny. Już go wykańczają i teraz widać jasno, że uszka budowa czy to gmachu, w którym ludzie będą mieszkać, czy mostu po którym będą chodzili — jest pochłanianiem teraźniejszości przez przyszłość, a okres wytyżonego budownictwa w historii jest tworzeniem przyszłości. Moim udziałem w budownictwie jest pisać moją bajkę”.

ANTEUSZ REDIVIVUS

Książka Michała Priszwina kończy się jeszcze jednym zwierzeniem pisarskim, zwierzeniem bardzo intymnym, którego szczerością czytelnik czuje się wzruszony. Oto zwierza się pisarz ze swych codziennych przykrości, dotkliwych dla każdego z nas.

„Te nocne cisne myśli — powiada autor — sprawiają, że się czuję drzewem o zmurszałym rdzeniu. Kiedy zaś nadchodzi zbieżność poranna, otwieram okno, słyszę pomruk cietrzewi, wołania szpaków, widzę nabrzmiałe sokiem czekoladowe gałki brzoź, popielate gąsienice zakwitających osik... wówczas, przecie, czuję się zwycięzcą nad wszystkim co we mnie małosłowne, i na podstawie własnego doświadczenia rozumiem, dlaczego Anteusz odradzał się dotknawszy ziemi”.

I naszej literaturze życzyć by należało książek tego typu, które — są niezbędne w pełnym, harmonijnym rozwinięciu organizmie nowej, tworzącej się kultury.

Wacław Sadkowski (Rola)

WIERZSE O BOLESŁAWIE BIERUCIE	
str. 32	zł 3.—
„CZYTELNIK“ K 10366-1	
Dla dzieci i młodzieży	
Hanna Januszewska BASNIE POLSKIE Ilustr. O Siemaszko	
str. 121	zł 12.—
L. Tymianowa OPIWIEC	
ROSYJSKIE AKTORCE	
str. 242	zł 8.50
„CZYTELNIK“ K 10362-1	
Bolesław Wójcicki	
PRAWDA O KATYNI	
str. 188	zł 6.—
„CZYTELNIK“ K 10370-1	

O WŁAŚCIWE WNIOSKI Z RADZIECKIEJ DYSKUSJI O DRAMATURGII

(Dokroczenie ze str. 5-iej)

uczestniczy. Tematykę produkcyjną i „nieantagonistyczny” konflikt uznano w ten sposób za drogę do realizmu socjalistycznego w dramaturgii”.

A dalej: „Właśnie ów szkodliwy podział na konflikty „antagonistyczne” i „nieantagonistyczne” prowadzi do dostrzegania w naszym życiu albo schematycznego konfliktu „produkcyjnego” (np. zacyfany ale przyzwyczajony inżynier — tradycjonalista i majster z awansu społecznego, rewolucjonizujący produkcję)... Schemat to właśnie owo czarnobiałe, pseudokonflikt, ó zagadnienie produkcyjne”.

Znów mieszanina częściowo słusznych sądów z absurdalnymi wnioskami. Lecz oczywista, że rozdzielanie zagadnień od siebie, izolowanie życia osobistego od życia społecznego, to zubożenie obrazu życia naszej klasy robotniczej. Lecz traktowanie zagadnień produkcyjnych jako pseudokonfliktów świadczących o zupełnej nieznajomości życia. To nie są pseudokonflikty, to jest ciężka walka o wykonanie planu, o wyższą wydajność pracy, to ludzkie zwycięstwa, bohaterstwo, ludzkie nieszcześcia i nieraz tragedie. To przedstawienie tych problemów było ubogie, postacie niezindywidualizowane, płaskie.

W „Prawdzie” czytamy: „Postulat głębokiej indywidualizacji bohaterów — jest jednym z podstawowych postulatów estetyki realizmu socjalistycznego. Objętość wobec człowieka, próby zatarcia jego oblicza, próby zniwelowania ludzi obce są duchowi ustroju socjalistycznego”.

„Jednostronne przedstawianie życia ludzkiego, ignorowanie jego codziennych spraw i kultury świadczą, że artysta nie dość głęboko zna życie... Literatę powinien... poznać gruntownie życie robotników i chłopów, poznać ich byt”.

Wyda się, że ten ostatni wniosek obejmuje również tow. Kotta. Całość artykułu tow. Kotta charakteryzuje chaos konstrukcyjny i myślowy. Jedne twierdzenia znajdują się w całkowitej sprzeczności z drugimi. I tak w jednym miejscu tow. Kott pisze o tym, że konflikty nieantagonistyczne to „pseudokonflikty”, których właściwie nie ma. W drugim zaś miejscu stwierdza, że „czy to co powiedziano oznacza, że prawdziwy konflikt istnieje tylko między ludźmi, z których każdy należy do innego obozu ideowego?”

„Ze nie ma w naszym życiu konfliktów między dwoma uczuciowymi i mądrymi członkami Partii... Nie!”.

Parę wierszy dalej tow. Kott znów znajduje się w sprzeczności z poprzednio wysuwana tezą pisząc: „Wszelki podział na szufłaki: w jednej konfliktu osobiste i mity-

sne (a niech mi kto powie, czy są one uniagonistyczne, czy nie uniagonistyczne) jest jaiszywy i szkodliwy”.

A więc znów autor artykułu za przecza istnieniu jakościowej różnicy między konfliktami antagonistycznymi i nieantagonistycznymi.

Ze swadą zadane pytanie „Niech mi kto powie...” świadczy o tym, że tow. Kott w swym rozumowaniu izoluje problemy życia osobistego od problemów życia społecznego, aczkolwiek w tym samym zdaniu mówi o szkodliwości dzielenia konfliktów na szufłaki.

Autor zdaje się zapominać, że konflikty miłosne i osobiste poza swą treścią psychologiczną (zresztą zmienną historycznie) posiadają treść społeczną, okiełszczając ich charakter. Konflikt między Wokulskim a Izabellą w „Lalce”, między Katarzyną z „Burzy” a jej otoczeniem, był ze swej istoty antagonistyczny. Natomiast konflikt między Grunią a Rcdionem w powieści „Z całego serca” Malcewa, między S. Putuwinem a kolejarzem w powieści „Studenti” Trifonowa, między Awdotią a Wasylm w „Zniewach” Nikolajewej, między Listopadem a jego żoną w powieści Panowej „Krużyłcha”, konflikt Nagulnowa w „Zorany ugorze” Szolochowa był ze swej istoty nieantagonistyczny. Obie te grupy konfliktów mają różną treść społeczną i dlatego noszą różny charakter. Nie oznacza to wcale, aby konflikty nieantagonistyczne były wyłącznie konfliktami między „dobrym” a „lepszym”. Bardzo często są to konflikty między dobrym a tym, który stał się złym.

Treść klasowa określa w dużej mierze charakter psychologiczny konfliktów, lecz nie jest z nimi tożsama. Zmiana społecznej treści konfliktów nie oznacza, że psychologiczne napięcie ich przebiegu w życiu konkretnych jednostek zmniejsza się, że nie są to konflikty wielkie. Utożsamianie tych treści stanowiło jedno ze źródeł „teorii” bezkonfliktowości!

W zakończeniu pierwszej części artykułu, wymierzonego przeciw „pseudokonfliktom” (co tow. Kott utożsamia z konfliktami nieantagonistycznymi) wskazane zostały te konflikty, które zdaniem autora jedynie są godne uwagi: „Ten wielki proces zabijania w sobie mieszcza-cha, otrząśnięcia się ze wszystkich pozostałości kapitalistycznego ustroju... jest żywym i prawdziwym źródłem konfliktów... W każdym bowiem z ludzi przelotem mieszczyński skrył się głos indziej; tu go odnajdziesz w stosunku do kobiety; tam — w lenistwie umysłowym; gdzie indziej w strachu przed wszystkim co nowe w liżusowości... Oto średniak pozbywa się kulackiej duszy...”

Nieporozumienie sięga dalszych

absurdu. W artykule wymierzonym przeciw teorii bezkonfliktowości, w artykule wymierzonym przeciw realizmowi zwolennikom (w naszej krytyce) usuwana ze sztuki konfliktów klasowych, tow. Kott staje znów na stanowisku, które uprzednio zwaizwał. Wysuwane przez niego przykłady to wyłącznie przykłady konfliktów nieantagonistycznych, gusz autor zapomniał tym razem o podstawowych dla naszej twórczości konfliktach klasowych, aniagonistycznych, wyrażających się walką z kurakiem, szpiegiem, sabotażystą, walką klasową w obrębie rodziny itp.

W swiecie tego, co powiedziano powyżej, siornuowanie ow. Kotta, iż bęą naszej dramaturgii spowodowane były „szkodliwą i jaiszywą teorią o wygasaniu walki klasowej w społeczeństwie budującym socjalizm” wydają się być co najmniej lekkomyślne.

Nie ulega wątpliwości, że artykuł tow. Kotta w niczym nie przyczynia się do rozwoju naszej dramaturgii i literatury realizmu socjalistycznego.

Jak widać proste i jasne, stanowcze słowa „Prawdy” mogą być zupełnie opacznie komentowane. Dlatego bardzo ważne jest wyprostowanie wszelkich niejasności, twórcze rozwinięcie w naszych warunkach dyskusji toczony w ZSRR. Co to oznacza? Oznacza to walkę z przejawami nieszczerości, obudy, tchorstwa w twórczości literackiej. Oznacza to walkę z upraszczaniem, wulgaryzowaniem i zniekształcaniem zasad realizmu socjalistycznego. Oznacza to ukonkretnienie walki o poziom artystyczny naszej literatury i dramaturgii, o nasycenie jej wielkimi konfliktami społecznymi, o wypełnienie konfliktów politycznych trafnie zobrazowanymi treściami psychologicznymi, o dalsze właściwie i twórcze przyswojenie sobie dorobku radzieckich pisarzy, oznacza to wzmocnienie pracy nad popularyzowaniem i krytycznym omawianiem czołowych dzieł sztuki radzieckiej, podnoszenie zalet i osiagające przodujących pisarzy, przy jednoczesnym wyjaśnianiu braków i krytykowaniu utworów słabych i marginesowych w radzieckiej twórczości literackiej, na których uczyć się i wzorować nie należy.

Przeniesienie dyskusji o dramaturgii na nasz teren oznacza również niedopuszczenie do jakichkolwiek prób podważania podstaw realizmu socjalistycznego, do atakowania w imię walki o jakoś i prawdę życia — utworów nowatorskich, choć jeszcze niezupełnie dojrzałych artystycznie.

Dalsze wzmocnienie i ugruntowanie literatury, dramaturgii i krytyki realizmu socjalistycznego w Polsce — to przecież podstawowe nasze zadanie.

Grzegorz Lasota

*) Harold Herdal. I. Dzieciństwo. II. Młode lata. III. Wspomnienia z przeszłości z duńskiego. Anna Stawiska. Ciekawą projektowała Stanisław Łuckiewicz. Warszawa. „Książka i Wiedza”. 1950. Str. 283 i 1 nl. (I); 205 i 1 nl. (II); 221 i 3 nl. (III).

U PRZYJACIOŁ

Nowe wydanie powieści W. Katajewa „O władzę Rad”

Pierwsze wydanie powieści W. Katajewa „O władzę Rad”, mającej odzwierciedlić walkę bolszewickiego podziemia w Odesie z okupantem hitlerowskim, zostało ostro skrytykowane w całej prasie radzieckiej. Autorowi zarzucano, że stworzył obraz nieprawdziwy, wypaczkujący rzeczywistość i fałszywie ukazujący ludzi radzieckich.

Niedawno ukazało się drugie, całkowicie przerobione wydanie powieści. W piśmie „Litieraturnaja Gazeta” L. Skorino pisze w związku z tym co następuje:

„Nowe wydanie powieści Katajewa „O władzę Rad” — to poczujący przykład uczciwej i twórczej odpowiedzi artysty na krytykę swego utworu. W. Katajew z pełną odpowiedzialnością ustosunkował się do słusznych zarzutów, odnoszących się do jego powieści, postawionych przez Partijną prasę i na tej podstawie poprawił książkę. Najważniejszym w całej ponownej pracy pisarza nad powieścią było dokładne zaznajomienie się z rzeczywistością. W. Katajew zebrał nowe materiały, oświetlające działalność bolszewickiego podziemia w Odesie i walk partyzancką na Krymie. Konkretnie przykłady bohaterów walki ludzi radzieckich pozwolił pisarzowi od nowa przeprowadzić zasadniczą linię utworu, szerzej ukazać bojowe operacje podziemnego rejonu, pogłębił postacie głównych bohaterów, wprowadził do akcji nowych ludzi. Szerzeg rozdziałów poprzedniej wersji powieści usunięto, niektóre sceny i epizody zostały zasadniczo przerobione. Powieści wyszło to na dobre, ma ona obecnie większy rozmach, jest pod względem historycznym bardziej prawdziwa i artystycznie bardziej doskonała.”

W dalszym ciągu recenzji krytyk dokładnie omawia zmiany, jakie wprowadził Katajew do swojego utworu, ukazując jednocześnie, ile zyskała na tym książka w porównaniu z pierwszym wydaniem. W zakończeniu L. Skorino pisze:

„Wydaje się, że prosta, pełna wiary w życie, patriotyczna książka „O władzę Rad”, opiewająca siłę i poległość wielkiej ojczyzny, trwałość ustroju socjalistycznego, stanie się jedną z ulubionych książek młodych i dorosłych czytelników”.

W dalszym ciągu recenzji krytyk dokładnie omawia zmiany, jakie wprowadził Katajew do swojego utworu, ukazując jednocześnie, ile zyskała na tym książka w porównaniu z pierwszym wydaniem. W zakończeniu L. Skorino pisze:

„Wydaje się, że prosta, pełna wiary w życie, patriotyczna książka „O władzę Rad”, opiewająca siłę i poległość wielkiej ojczyzny, trwałość ustroju socjalistycznego, stanie się jedną z ulubionych książek młodych i dorosłych czytelników”.

15-tomowe wydanie dzieł wybranych Wiktora Hugo

W ZSRR zostaną wydane dzieła Wiktora Hugo w nakładzie 150 tys. egzemplarzy.

Takie masowe wydanie dzieł wielkiego pisarza Francji ukazuje się w ZSRR po raz pierwszy. Publicystyka, znaczna część wierszy i niektóre dramaty zostaną wydane w nowych tłumaczeniach. Pierwsze dwa tomy ukazywały się w roku bieżącym, ostatnie w r. 1955.

Młoda literatura Zagłębia Donieckiego

Przeszło 200 początkujących literatów Zagłębia Donieckiego zrzesza 11 stowarzyszeń literackich w miastach i przedsiębiorstwach Zagłębia. W większości są to robotnicy, majstrów i inżynierowie kopalń węgla, zakładów metalurgicznych i budowy maszyn. Niektórzy młodzi autorzy wydali już pierwsze książki. Na przykład Wyd. Obwodowe w Stalino wydało powieść W. Brońskiego pt. „Drugie tchnienie”, poświęconą pracy donieckich hutników. Autor jest inżynierem Jenakijewskich Zakł. Metalurgicznych. Ukazał się zbiór wierszy inżyniera górnictwa I. Muchina. Przynotuje się do druku powieść pracownika kombinatu „Donbassantracit” F. Wolnego pt. „Trzeci wschodni”, oraz zbiór wierszy kole-

Józef Dzierżkowski	
RODZINA W SALONIE	
str. 205	zł 7.50
Frida Włodowska	
Z PAMIĘTNIKA NAUCZYCIELKI	
str. 102	zł 4.—
Edward Wilde	
W POSEPNEJ KRAINIE	
str. 176	zł 7.—
Karol Nowy	
ZELAZO OSTRZY SIĘ ZELAZEM	
str. 348	zł 12.50
Pierre Gamarę	
DOMY NAD GARONNĄ	
str. 149	zł 6.60
Raul Larra	
SPOTKANIE NOCA	
str. 103	zł 3.80
„CZYTELNIK”	
K 10374-1	

jarza stacji Debalcewo, G. Krywdy. Na łamach miejscowej prasy i w roczniku „Literackie Zagłębie Donieckie” wyróżniają się wiersze, opowiadania i szkice tynkarki N. Majakowskiej, górnik kopalni nr 1—2 „Czerwony Październik” — F. Strebkowa, hutnika I. Bitiuka i in.

Teatr dla łowców wielorybów

Rybaków, kołchoźników i łowców wielorybów na Wyspach Kurylskich odwiedzają stale przez cały okres letni artyści Petropawłowsko-Kamczackiego Teatru Dramatycznego. Repertuar teatru składa się m. in. z następujących sztuk: „Ożenek” Gogola, „Zykowowie” Gorkiego, „Pociąg pancerny 14-69” W. Iwanowa, „Trzydzieści srebrników” H. Fasta.

Kultura polska w ZSRR

W ciągu pierwszych 3 dni Festiwalu Filmów Polskich w Leningradzie ponad 300 tys. osób obejrzało wyświetlane na nim filmy. Na łamach „Prawdy” ukazał się artykuł wybitnego kompozytora A. Nowikowa o Chopinie, nawiązujący do wyświetlanego w ramach Festiwalu filmu „Młodość Chopina”. Nowikow ocenia film jako wielkie osiągnięcie kinematografii polskiej.

Delegacja filmowców polskich zwiedziła leningradzką wytwórnię filmową — „Lenfilm” oraz była obecna przy nakręcaniu nowych filmów. Po kilkudniowym pobycie w Leningradzie filmowcy polscy powrócili do Moskwy.

Dla studiujących język polski i literaturę polską na wyższych uczelniach ZSRR wydano jako pomoc naukową dwutomowy zbiór wypisów z literatury polskiej XIX i XX wieku w języku polskim. Ze współczesnych pisarzy i poetów polskich w wypisach znajdują się m. in. utwory Wasilewskiej, Rudnickiego, Broniewskiej, Szenwolda i Putramenta.

Wypisy zawierają obok fragmentów dzieł klasyków literatury polskiej — utwory postępowych poetów XIX wieku — Wasilewskiego, Berwińskiego, Romanowskiego i in., których twórczość była pominięta milczeniem przez burżuazyjnych historyków literatury.

CO PRZYPISY PRZYPISUJĄ NEP-owi.

Jednym z środków udostępnienia wartościowej książki najszerzym masom czytelników są obniżenia cen do tekstu. Zie się jednak dzieje, gdy autorzy objaśnieniami zapominają dla kogo i w jakim celu je piszą. Przykładem tego przypisy do powieści Mikolaja Ostrowskiego „Jak stawiała się stal”, wydanie II, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951.

Trudno zrozumieć, jakimi kryteriami kierował się autor przy wyborze słów do objaśnienia. Jaki sens ma np. objaśnienie najpopularniejszego chyba dzisiaj w Polsce słowa „kulak” (str. 123), skoro obcy wyraz „lazzarone” (str. 283) pozostawia się bez przypisu? A przecież Ostrowski bynajmniej nie zakłada, że „lazzarone” jest ogólnie zrozumiałym wyrazem, bo już w następnym zdaniu dodaje: „Korczak wdział się z powieści „Giuseppe Garibaldi” o co oznacza słowo lazzarone” (str. 284). Czyżby autor przypisów sądził, że czytelnik, któremu objaśnia on skrót KC (str. 186) i słowo „walonki” (str. 237) wie, co to jest „lazzarone”, kim był Garibaldi, kim był Lenin i prawe cesarzy (str. 73), co znaczy po ukraińsku „winno” (str. 75), co to była strefa osiedlenia Żydów (str. 321), co przedstawiała sobą tzw. „opozycja robotnicza” (str. 353)? Wszystkie te i wiele innych słów i fraz pozostawiono w książce bez objaśnienia. Ale nie to jest grzechem głównym redakcji. Gorzej, że przypisy wprowadzają czytelnika w błąd, i to w sprawach ważnych, politycznych.

Na str. 392 czytamy takie oto objaśnienie do wyrazu nepman: „Od słowa NEP (skrót. Nowaja Ekonomiczeskaja Polityka)”. Pod koniec 1921 r. inicjatywa prywatna w ZSRR została poddana kontroli państwowej, co trwało do roku 1924”. Czytając to „objaśnienie” pocieszymy się tylko, że nikt w Polsce nie uwierzył podobnym bredniom. Nawet najmniej uświadomiony politycznie czytelnik dobrze wie, że i po roku 1924 nie istniała prywatna inicjatywa w ZSRR poddana kontroli państwowej, co trwało do roku 1924”. Czytając to „objaśnienie” pocieszymy się tylko, że nikt w Polsce nie uwierzył podobnym bredniom. Nawet najmniej uświadomiony politycznie czytelnik dobrze wie, że i po roku 1924 nie istniała prywatna inicjatywa w ZSRR poddana kontroli państwowej, co trwało do roku 1924”.

SKĄD TO ZNAMY?

Pożyteczna placówka, jaką jest nieliterackie Państwowe Teatr Powszechny w Łodzi, odgrywa poważną rolę w życiu kulturalnym tego wielkiego robotniczego miasta. Wyświetlona ostatnio w tym teatrze adaptacja Baizaka „Eugeni Grandet” spotkała się z zrozumiałym zainteresowaniem i uznaniem, zwłaszcza że opacowana została starannie i z dużym nakładem obywatelskiej miłośności teatru i jego chętnie obejrzała te sztukę i z zainteresowaniem biorąc do ręki program, ażeby uzupełnić swoją wiedzę zarówno o samym autorze, Baizaku, jak i o jego dziełach, i tu zaczęła się dramat. Przede wszystkim czytelnik programu dowiedział się o tym, że uczenie, że człowiek to już zna, że gdzieś to czytał. Ale gdzie? Ale kiedy? Wieszcie przypominaliśmy sobie. I co się okazuje? Ano, że autor programu, Stanisław Powolocki, zapożyczył się walcie w Jaszcza. Tak mu się spodobał artykuł „Trybuna Ludu” z dnia 27 lutego b. r. pt. „Artydzielo Baizaka na scenie”, że nie mógł oprzeć się chęci przepisania go do swojego programu. I zapewne tylko przez omyłkę lub zapomnienie, zamiast Jaszcza, podpisał siebie. Bo Powolocki nie tylko zapożyczył treść i układ artykułu u Jaszcza, co ostatecznie nie byłoby jeszcze takie gorzkie, ale przejął również całe jego sformułowania. Nie wierzycie? Piszcie! Piszcie! Oto dowody. Jaszcza w wspomnianym artykule pisze tak: „Baizakowi chodziło o Eugenie, o jej miłość, czystą, obryzmia, dumną”, chciał napisać romans z właściwą sobie romantyczną hiperbolą wykreślił dzieje życia szlachetnego dzweczca, tyrantycznego przez ojca-skąpca i zdradzonego przez niegodnego kochanka”.

Idźmy dalej. U Jaszcza czytamy: „Nie darmo klasycy marksizmu podkreślali tykrokolnie tę antynomie Baizaka, zwycięstwo realistycznego widzenia nad przymyślnym marzeniem”. U Powolockiego: „Trybuna dla Baizaka antynomie, polegająca na zwycięstwie realistycznego widzenia nad przymyślnym marzeniem”.

W taki mniej więcej sposób narysowany jest cały program. Można by zestawiać drugo jeszcze zdanie po zdaniu, frazę po frazie. Ale są i pewne różnice. O ile artykuł Jaszcza napisany został wzorowa

W KRAJU

CENTRALNE ELIMINACJE WIEJSKICH ZESPÓŁÓW TEATRALNYCH

biórajcych udział w Festiwalu Sztuk Polskich — zakończyły się w Warszawie. W Festiwalu uczestniczyło ogółem 1591 zespołów wiejskich, liczących 20.755 uczestników. Zespoły te dały łącznie 6 tysięcy przedstawień, które obejrzało ok. miliona widzów.

Podczas uroczystego zakończenia centralnych eliminacji w Państ. Teatrze Narodowym, min. Dybowski wręczył wyróżnionym zespołom dyplomy i nagrody.

I-sze miejsce (dwie nagrody zespołowe po 5 tysięcy złotych) przyznano zespołowi z Ludwinowa (woj. krakowski) — za opracowanie sztuki pt. „Wczoraj i przedwczoraj” — Maliszewskiego, oraz zespołowi z Zaniemysła (woj. poznański) — „Zręczność i przekora” — A. Fredry. Przyznano ponadto 3 nagrody zespołowe po 3 tys. złotych oraz 4 nagrody zespołowe po 2 tys. złotych.

Nagrodę zespołową w wysokości zł. 1.000 za dekorację i obsługę techniczną w sztuce „Wczoraj i przedwczoraj” Maliszewskiego przyznano zespołowi z Ludwinowa.

Nagrody reżyserskie — indywidualne, w wysokości po 1.000 złotych otrzymali: Piotr Wolakiewicz — reżyser zespołu z Ludwinowa, Józef Przybylski — reżyser zespołu z Zaniemysła, Wiktor Bugaj — reżyser zespołu z Kłomnic — (woj. łódzkie), Władysława Sokół — reżyser zespołu z Ludstowa (woj. gdański).

Nagrodę indywidualną w wysokości zł. 1.200 zł. otrzymał nauczyciel Adam Niedoba — kierownik zespołu z Wisty (woj. katowickie) — za całokształt pracy z zespołem oraz za napisanie sztuki pt. „Razem z zespołem, gromadą”.

KONFERENCJA LITERACKA POŚWIĘCONA TWÓRCZOŚCI JANA KOCHANOWSKIEGO

odbyła się 14 bm. w Domu Literat. Referyaty wygłosili: prof. Ziomek, prof. Taszycki i Adam Ważyk. 15 bm. w rodzinnym uści poetę — Czarnolesie, odbyło się uroczyste odsłonięcie jego pomnika oraz otwarcie Domu Kultury. Przemawiał M. Jastrun. Przemówienie to zamieszczamy w bieżącym numerze. Reportaż z uroczystości w Czarnolesie ukazuje się w następnym numerze „Nowej Kultury”.

KONCERTOWE WYKONANIE „HALKI”

z udziałem solistów warszawskiej Opery oraz połączonych orkiestr Opery i Filharmonii pod dyr. Z. Górzynskiego stanowiło program uroczystego wieczoru w sali Państwa. Opery i Filharmonii, zorganizowanego dla uczczenia 80 rocznicy śmierci Stanisława Moniuszki. Również w Poznaniu, Lublinie i innych miastach odbyły się liczne przedstawienia operowe oraz koncerty poświęcone twórczości Moniuszki.

„SŁOWO MŁODEGO POKOLENIA”

o pracy w fabryce, szkole, w wojsku czy na uści — pod tym hasłem Polskie Radio w porozumieniu z Zarz. Głównym ZMP i Komendą PO „SP” ogłosiło konkurs otwarty na repor-

KORESPONDENCJA

rozdziału IX „Krótkiego Kursu Historii Wzrostu i rozwoju sztuki”. O odchyleniu prawicowym w WKP(b)”, o referatu Lenina „O podatku żywnościowym”, cz. przemówienia Szalina na XIV Zjeździe WKP(b) (Ziemia, tom 7). Wypada w końcu zdyktować, by przypisy do następnego wydania powieści „Jak stawiała się stal”, wiersi, na której wyenowiono się tym pokolenie młodzi radzieckiej — przypisy do lepszemu zrozumieniu książki, a nie wprowadzają czytelnika w błąd.

Jerzy Ostrowski

SKĄD TO ZNAMY?

Pożyteczna placówka, jaką jest nieliterackie Państwowe Teatr Powszechny w Łodzi, odgrywa poważną rolę w życiu kulturalnym tego wielkiego robotniczego miasta. Wyświetlona ostatnio w tym teatrze adaptacja Baizaka „Eugeni Grandet” spotkała się z zrozumiałym zainteresowaniem i uznaniem, zwłaszcza że opacowana została starannie i z dużym nakładem obywatelskiej miłośności teatru i jego chętnie obejrzała te sztukę i z zainteresowaniem biorąc do ręki program, ażeby uzupełnić swoją wiedzę zarówno o samym autorze, Baizaku, jak i o jego dziełach, i tu zaczęła się dramat. Przede wszystkim czytelnik programu dowiedział się o tym, że uczenie, że człowiek to już zna, że gdzieś to czytał. Ale gdzie? Ale kiedy? Wieszcie przypominaliśmy sobie. I co się okazuje? Ano, że autor programu, Stanisław Powolocki, zapożyczył się walcie w Jaszcza. Tak mu się spodobał artykuł „Trybuna Ludu” z dnia 27 lutego b. r. pt. „Artydzielo Baizaka na scenie”, że nie mógł oprzeć się chęci przepisania go do swojego programu. I zapewne tylko przez omyłkę lub zapomnienie, zamiast Jaszcza, podpisał siebie. Bo Powolocki nie tylko zapożyczył treść i układ artykułu u Jaszcza, co ostatecznie nie byłoby jeszcze takie gorzkie, ale przejął również całe jego sformułowania. Nie wierzycie? Piszcie! Piszcie! Oto dowody. Jaszcza w wspomnianym artykule pisze tak: „Baizakowi chodziło o Eugenie, o jej miłość, czystą, obryzmia, dumną”, chciał napisać romans z właściwą sobie romantyczną hiperbolą wykreślił dzieje życia szlachetnego dzweczca, tyrantycznego przez ojca-skąpca i zdradzonego przez niegodnego kochanka”.

Idźmy dalej. U Jaszcza czytamy: „Nie darmo klasycy marksizmu podkreślali tykrokolnie tę antynomie Baizaka, zwycięstwo realistycznego widzenia nad przymyślnym marzeniem”. U Powolockiego: „Trybuna dla Baizaka antynomie, polegająca na zwycięstwie realistycznego widzenia nad przymyślnym marzeniem”.

W taki mniej więcej sposób narysowany jest cały program. Można by zestawiać drugo jeszcze zdanie po zdaniu, frazę po frazie. Ale są i pewne różnice. O ile artykuł Jaszcza napisany został wzorowa

to będzie złamany plug, zdechły kot, stary motocykl lub sztuczna szczęka z brakującymi zębami. Ponieważ właściciel uprawiał ten proceder przez blisko 10 lat, doszedł ostatecznie do przekonania, że próbnicy będzie wyprowadzić s. e. niż próbować zrobić porządek. Rezultatem jest niebawoma okazja dla energicznej młodej pary, która pragnęła zająć się rolnictwem na małą skalę oraz handlem starzyzną i złomem na dużą skalę. Domu nie można nazwać bardzo małomównym, ale jest miły i dobrze zaopatrzony. Stodół przydałoby się polecić, ale jak się zdaje jest to doskonała stodoła. Ten przyrządek zapach to z powodu kóz. Ponieważ „miejsce na osobności” znajduje się tuż przy drodze, byłoby przytulniejsze i bardziej zaciszne, gdyby je zaopatrzono w drzwi.

Ogłoszenie pośrednika handlu nieruchomościami w stanie Vermont (USA)

Z TYGODNIA

taż, nowelę lub opowiadanie literackie z życia młodzieży w Polsce Ludowej. Termin nadsyłania prac upływa z dniem otwarcia Złota Młodych Przewodników Budowniczych Polski Ludowej — w dniu 20 lipca br.

WACŁAW ROGOWICZ PRZEWODNICZĄCY SEKCYJ PRZEKŁADU ZW. LITERATÓW POLSKICH obechodzą niedawno jubileusz 50-letniej pracy publicystycznej i przekładowej. W związku z zasługami położonymi w dziedzinie literatury w czasie 50-ciu lat pracy pisarskiej, Prezydent R. P. odznaczył W. Rogowicza Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W imieniu Prezydenta R. P. dekoracji jubilatą dokonał min. S. Dybowski.

W DAWNEJ REZYDENCJI MAGNACKIEJ A. POTOCKIEGO w Łanicy istnieje muzeum, które w wyniku przeprowadzanej obecnie reorganizacji, stanie się ośrodkiem wystawowym, reprezentującym historyczne wnętrza artystyczne. Ponadto w muzeum zostanie zorganizowany dział etnograficzny, ukazujący dzieje regionu łanickiego.

W ŚREDNIOWIECZNYCH BASZTACH I MURACH FLORIAŃSKICH

w Krakowie została otwarta wystawa dawnych warowni Krakowa. Wystawa obejmuje cykl malarskich rekonstrukcji dawnych bram i baszt miejskich, sztychy wykonane przez malarzy w I połowie XIX wieku, przedstawiające zburzone fortyfikacje, starą broń i zabytki związane z obroną miasta.

112 MUZYKÓW W WIEKU... OD LUT 7 DO 14

z woj. katowickiego wzięło udział w eliminacjach powiatowych i miejskich. Do finału zakwalifikowano 12 najmłodszych muzyków Śląska. Wystąpili oni po raz pierwszy na koncercie publicznym w wojew. Domu Kultury Związków Zawodowych. Na koncercie tym 7-letnia córka robotnika z Bielska, Ewa Figura, wykonała na fortepianie utwory Mozarta i Kabelewskiego. Wśród młodych skrzyp-

LORD PRAKTYCZNY I OSZCZĘDNY („London Daily Worker”)

Przewodniczący komitetu obrony cywilnej w okolicy East Suffolk, lord Cranbrook, proponuje wydanie rozprawy na kształt programu, który ma być programem „oszczędności” i „praktyczności”. W tym celu wydanie 4 tomu Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej, będziemy mieli pełny pogląd na całą sprawę.

Zadajmy teraz pytanie: dlaczego dopuszczono do wydania takiego programu? Czy nikt w teatrze nie mógł go skontentować i poprawić? A jeśli już autor zapożyczył się u innych, to po co opatrzył ten program swoim imieniem i nazwiskiem?

Jan Koprowski

TULEGA — TELEGA — TALAGA

W numerze 21 (113) „Nowej Kultury” z dn. 25 maja b.r. ukazała się rozprawka „Tulega — telega — talaga” w którym autor książki „Oczyma marynarza” spróbował parę rzeczywistości śmieśnych, korektorskich quiproquo artykułu „Literatura marynistrzyzna” (nr 16—17 „Nowej Kultury”). Nawiązując jednak do omyłki korektorskiej, w której pizkierono również i moje nazwisko, p. Balcerka wylicza: „W jednym zdaniu literat-marynistrzyzna nazywa się Tulega, a w drugim Telega, podczas gdy w rzeczywistości nazywa się zupełnie inaczej, bo Talaga”. Poprawka korektorska, dotycząca mojego nazwiska w artykule „Literatura marynistrzyzna” była zbyt mała i nieważna, aby nią zaprzętać uwagę czytelników. Skoro jednak p. Balcerka twierdzi, że sytuacja przedstawia się o wiele groźniej i robi to miłe zupełnie mi nieznanego osobnika, muszę ratować z tego pogromu resztę mojego prawnie posiadanego nazwiska i prosić o sprostowanie, iż nazywanym się naprawdę

Telega Stanisław

KŁOPOTY BIBLIOTECZNE

W tygodniku „Nowa Kultura” z dnia 25.V.52 r. nr 21 w artykule Zbigniewa Kempki pt. „Prawicowa biblioteczność” zamieszczono jest następujące zdanie: „W Gdyni zlikwidowano bibliotekę dziecięcą, a na jej miejscu otworzono jadłodajnię”.

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdyni wyjaśnia, że bibliotekę dziecięcą i młodzieżowej bynajmniej nie zlikwidowano — przeniesiono ją tylko z budynku przy ul. 10 Lutego 7 do budynku przy ul. Świętojańskiej 36. Nowy lokal jest również położony w centrum miasta, a poza tym posiada lepsze warunki na czytelników. Lokal przy ul. 10 Lutego 7 budowany był z przeznaczeniem na jadłodajnię i ze dnia z planami Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego, dostosowanymi do potrzeb ludności pracującej Gdyni, uzgodzono w nim ponownie punkt zbiorowego żywienia.

Za Prezydium RN w Gdyni W. Mikołajczuk

POZIOM NIZEJ KOSTEK (z wypowiedzi T. S. Ellota)

Możemy dość stwierdzić, że epoka nasza jest okresem suchym, że poziom kultury jest dziś niższy niż przed 50 laty i że oznaki tego sychu są w doznaniu w każdej dziedzinie ludzkiej aktywności.

(g. bli.)

WFD ZAPOMNIAŁA O NAZWISKU AUTORA TEKSTU „MAZOWSZA”

Wydawnictwo Filmów Dokumentalnych podaje nieliteracki do wiadomości, że w toku opracowania napisów czołowych do filmu dokumentarnego p. t. „Mazowsze” wskutek przykrego niedopatrzania pominięto zostało nazwisko autora tekstu do filmu, TADEUSZA KUBIAKA.

Te, proboszcz!”

Wiadomo, że kilku księży w Parryżu pracuje jako robotnicy w fabrykach. Nie są to padni — na naszą modłę — „księża patrioci” i praca ich wśród robotników nie ma najczęstszą nie wspólnego z walką francuskiej klasy robotniczej o lepsze jutro swej skolonizowanej ojczyzny.

ZA GRANICĄ

WYSTAWA PLAKATU POLSKIEGO została uroczysto otwarta 12 bm. w Moskwie w Pałacu Plastyków Radzieckich. Wystawa obejmuje przeszło 100 prac malarzy i grafików polskich.

PONAD 10 TYS. OSÓB W CIĄGU 20 DNI

zawiedziło wystawę polskiej plastyki w Moskwie. Grupa polskich plastyków, przebywająca obecnie w ZSRR, zwiedziła ostatnio w Leningradzie wiele pracowni malarzy i rzeźbiarzy oraz zabytki architektury.

W VII MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU FILMOWYM W KARLOWYCH VARACH

(12.VII. — 3.VIII.) kinematografię polską będą reprezentować pełnometrażowe filmy fabularne: „Młodość Chopina”, „Pierwsze dni”, „Gromada” oraz poza konkursem — „Zatoga”; filmy dokumentarne: „Mazowsze”, „Częstochowa”, „Dzieło mistrza Szuosza” oraz popularno - naukowe: „Beskid Śląski” i „Nasze dzieci”.

PONAD 100 PRAC PLASTYKÓW POLSKICH ZE ŚLĄSKA ZAOLZIAŃSKIEGO

zgrupowano na wystawie malarzskiej sekcji literacko - artystycznej Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji. Tematem znacznej ilości obrazów jest praca górnika i hutnika.

HUTNIK POLSKI Z TRZYŃCA

Paweł Kaleta, dyrygent i autor wielu utworów muzycznych, ukończył ostatnio nowy utwór kameralny, nad którym pracował przez kilka lat — kwartet smyczkowy B-dur.

W NRD powstało Towarzystwo Współpracy Kulturalnej z Zagranicą

Przewodniczącym Towarzystwa został prof. R. Alt, kierownik Instytutu Pedagogicznego.

— Właśnie cziowieka trzeba szanować.

— Ale przecież jesteśmy wszyscy braćmi, jesteście naszym bratem.

— Jak mogę wierzyć w wasze braterstwo? Od chwili, kiedy jestem u was, bijecie mnie. Najbardziej bolesne jest dla mnie to, że uważa się pan za chrześcijanina, że na pewno chodzi pan na mszę i przysięga do Komuni, a równocześnie bije pan mnie, księdza.

— Napiszę do ngr Felina (Biskup Parryza, przyp. tłum.).

— Proszę, napiszcie, wysłucha was, ale nas także wysłucha.

— Komuniści!

— Wczoraj byłem wśród chrześcijan, którzy nie są komunistami i wśród innych księży-robotników.

— Podziwiam księży - robotników, ale teraz uszacie, gdzie się znajecie, zrobię wszystko, co jest w mojej mocy przeciwko wam... Na pewno pięknie słyszysz do Mszy... Pewno zobaczysz przy Sowietach.

— Od wczoraj już się ich nie boję. Nie mogą być gorsi od was.

Więcej ksiądz nie odpowiada, w obawie przed ponownym biciem.

Następuje kolej księdza Bouyer'a.

— Ty księże fałszywy, bandyto, księże od Stalina, chcesz zniszczyć religię?

Następuje bicie pałką gumową po plecach:

— Gdzie byłeś wczoraj?

— Byłem razem z towarzyszami pracy i w chwili, kiedy mnie zatrzymano, opiekowałem się rannym.

— Łudząki, nie głosisz miłości bliźniego, tylko gwałt! (I pokazując na sztabe żelazną od wywieszki). A to uznajesz?

— Nie, tego nie uznaję, ale to rozumie.

— Ach, to tego nie uznajesz?

I bije go sztabą żelazną po brzuchu.

„Idź, wynoś się stąd, wynoś!”

Ksiądz L. B wychodzi, dostając jeszcze silne uderzenie nogą w nerki, uderzenie „najbardziej bolesne ze wszystkich”.

BŁĘDY DRUKARSKIE W POEZJACH PRZYBOSIA

W wydanym przez spółdzielnię wydawniczo-oświatową „Czytelnik” wyborze wierszy Juliana Przybosa pt. „Rzut pionowy” należy poprawić następujące błędy druku, niezamienione przez wydawcę:

Strona wiersz zamiast ma być

16 8 od dołu dna dnka

26 między w. 2 a 3 brak interlinii

35 2 od dołu twojej twej

41 1 od góry prawie prawie

62 9 od góry winien mieć kształt:

Wznaradziny religiami wierzę w doskonałych, którzy kończą nie pragną zamartwyczać.

JAN KOCHANOWSKI

O KAZNODZIEI

Pytano kaznodzieję: czemu to prałacie
Nie tak sami żywicie, jako nauczacie?
(A miał doma kucharkę) i rzecze: mój panie,
Kazaniu się nie dziwuj, bo mam pięć set za nie:
A niewziąłbych tysiąca, mogę to rzec śmieie,
Bych tak miał czynić, jako nauczam w kościele.



Rys. Maja Berezowska

* * *

Prawa są równie jako pajęczyna:
Wróbel się przedrze, a na muszkę wina.

NA STARĄ

Terazbyś ze mną zigrzywać się chciała
Kiedyś niebogo sobie podstarzała.
Daj pokój, prze Bóg, sama baczysz snadnie,
Ze nic po cierniu, kiedy róża spadnie.



Rys. Maja Berezowska

WITOLD DĄBROWSKI

NA LIPE

z okazji Plenum ZLP — ceniom mistrza z Czarnolasu

Czytelniku, niebacznie w mym cieniu nie siadaj;
Jeśli życia tu szukasz błada ci, o błada,
Nie dojdzie cię tu jego, by najlżejszy powiew —
Pod gestwą mych konarów siedzą autorowie, w
Których xięgach, poemach i drammach rozlicznych
Zamiast życia jest lipy rzut geometryczny;
Tu kuśmierne wywłodki wdzięcznie narzekają,
Tu śpiewakowie bratni przepiecznie hasają;
Tu schemata wszelakie... Lecz, że plenum ma się,
Jako wieść gminna niesie, zacząć w Czarnolasie,
Przeto obawę swoją najskrytszą ci powiem:
Lękam się, że mnie zrabują pisarze, albowiem
Cierpkie owoce rodzą, kwaśne i nieduże,
Lipa... nie czarnoleska, lecz — w literaturze.

nożyce

JANUSZ MINKIEWICZ

KRYTYKA I SAMOKRYTYKA

Czyn nie nadąża za słowem,
Słowo pomyka chyżej...
O spostrzeżeniu takowem
Proszę przeczytać poniżej!

W ciepły dzionek (był to maik)
Na literackim podwórku,
Pewien znany wszem prozaik
Zwrócił się do dramaturgów:

— Już najwyższa skończyć pora
Z modą o tym sztuk pisania
Jak traktuje król aktora...
Jak Czarniecki do Poznania...

Od każdego z was chce aktor:
„W teren nas traktorem zawieź!”
Niech się rzecz zwie „Król i traktor!”
(Król,

lecz ten Król, który ma „Wieś”...)

Tu prozaik dał hamulce
Słowom i bez straty czasu
Pobiegł pisać o Urszule
(Grubą książkę) z Czarnolasu...

Któs mu zdążył krzyknąć: — „Bracie,
Rację masz, jak kocham bożie,
Historycznych prac w dramacie
Jest zbyt wiele, tak jak w prozie!

I wojskowych, i cywili
Od krajowych spraw oddała
Každy pociąg do Marsylii,
Czy bieg każdy do Fragała!”

Któż-to słowa rzekł powyższe?...
To dość znany dziś dramaturg,
Co o Turcji właśnie pisze
Dramat z dni, gdy żył Ataturk...

Skrzyżowałem wzrok z kolegą,
Ten z uśmiechem rzekł uroczym:
— Pytam was, jako starszego,
Z czego kpić mam,

— W fachu — mówię — satyrycznym
Najważniejsze: ruszyć w teren,
Ku warształom wyjsć fabrycznym,
Ku spółdzielniom, P.G.R.-om...

W wiry zdarzeń dawać nurka!
Wrogom — nie oszczędzać cięgów!
Grunt z własnego wyjsć podwórka,
Z własnych spraw ciasnego kręgu!...

Pbdziękował za wskazania
I umówił się na wtorek,
Ja zasiadłem do pisania
I zacząłem tak utworek:

Czyn nie nadąża za słowem,
Słowo pomyka chyżej...
I dalej słowo za słowem
To co czytacie powyżej.

KRYSTYNA ŻYWULSKA

NAUCZYCIELKA

Pewna debiutująca autorka złożyła w wydawnictwie rękopis swojej książki. Wydawnictwo wyznaczyło Redaktora Odpowiedzialnego książki. Podczas pierwszej rozmowy Red. Odp. powiedział do autorki: — „Całość jest możliwa i nie sądzę, żebyśmy wiele musieli nad nią pracować. Trzeba jednakże koniecznie zmienić scenę z nauczycielką. Idzie o to, że nauczycielka jest postacią niezyciową. Jest ona zbyt cukierkowa, zbyt miła i słodka. Moim zdaniem nauczycielka w tym wypadku powinna być raczej postacią negatywną, co spowoduje świetny kontrast ze sceną poprzednią.



próbowała przekonywać Redaktora autorka.

— Zmienimy to, a całość zyska na prawdziwie życiowej i będzie pani wdzięczna wydawnictwu — zapewniał Redaktor Odpowiedzialny.

Wobec tego autorka zmieniła tekst, który po poprawkach brzmiał: „Nauczycielka spojrzała na klasę złym wzrokiem. Wszystko tego niczem nie różniącego się od innych dnia wydawało jej się ponure i obce. Smutne twarze chłopców, odgłos dzwonka, który jeszcze rozlegał się na korytarzu, gwar głosów dobiegających z ostatnich ławek — działały jej na nerwy. Jej zły nastrój udzielił się uczniom. — Podejdz tu Grzesiu — rzekła groźnie — na pewno nie odrobiles zadania, bo jesteś len i nie uważasz na lekcjach. Nie, proszę pani — odpowiedział Grześ — nie odrobilem, bo nic nie rozumialem z tego co pani mówiła na ostatniej lekcji.”



Autorka przeczytała omawiany fragment, który brzmiał: „Nauczycielka rozejrzała się po klasie swoim ciepłym, dobrym wzrokiem. Wszystko tego pamiętnego dnia wydawało jej się przyjemne i serdeczne. Roześmiane twarze chłopców, odgłos dzwonka, który jeszcze rozlegał się na korytarzu, a nawet gwar głosów dobiegających z ostatnich ławek. Radość promieniująca z jej oczu udzieliła się uczniom. — Pdejdź do mnie, Grzesiu — rzekła uśmiechając się — miałeś trudności z tym zadaniem? Nie, proszę pani — odpowiedział Grześ — po pani wyjaśnieniach wszystko wydawało mi się proste i łatwe.”

— Wdaje mi się, że scena ta wiąże się ściśle z całością, i że ta nauczycielka nie może być inna —

Po trzech miesiącach poproszono autorkę do wydawnictwa. Tym razem rozmawiał z nią Redaktor Działu, w którym wychodziła książka. Redaktor Działu powiedział: Książka jest słaba i trzeba będzie nad nią bardzo popracować. Najstraszniejsza jest ta scena z nauczycielką. Po cóż my mamy pokazywać takich ludzi, kiedy jest tyle miłych nauczycielek. Kto by swoje dziecko powierzył takiej nauczycielce. Czy pani sama nie czuje, że to jest postać

JULIAN TUWIM

Jeszcze jeden wiersz poety
ANDRZEJA WIKTORA BUTNEGO

(Poleca się czytać głośno, jako wzór harmonii dźwiękowej. Zwrócić uwagę na wydźwięk czyli wybzdźwięk!)

Przez gwiazdne niebo jak przez durszlak
Noc sieje żdźbta mdle blasków ostrych.
Gwóźdź Kacper mknie przez twarde dróg szlak
I idą za nim siupy wiorst pstre.

Cóż? — Kacpra szept brzmi — moich prac plan
O osiem zwiększyłem zaledwie procent...
I — osiemnaście w głowie Kacpra
Swita uparcie, idąc nocą!!!

Przyspiesza kroku Gwóźdź — i gwiazd gwizd
Pogania go, jak temu miesiąc.
Nazajutrz — na tablicy wyróżnionych nazwisk
Grzmiał cyfr hymn: „Kacpr Gwóźdź — osiemdziesiąt!”

JAN BESTER

WĄTPLIWOŚCI

Trudno młodemu być specjalistą,
guy pisac zaczyna właśnie.
W pojęciach wielki zamęt i mglistość,
a nie ma kto wytłumaczyć...
Kryjacy krzyczą: — Nowe tematy! —
zamiast pokazać, uścisnąć
i chudnie człowiek, jak ten Sokrates,
z nadmiaru głębokich myśli.
Bo, prawdę mówiąc, wszystko już było.
Wszystko już napisano:
mądry sekretarz... sabotaż... miłość...
luo wykonanie planu...
Może w postaciach życia za mało
i wątek czasem utykał,
lecz do odnośnych tez pasowało,
jak noga do trzewika.
Była gromada... w gromadzie kulak...
i małorolni, co dzieinnie
walczyli dotąd, spiuwając w kulak,
az zarozyli spółdzielnie.
Średniak się wahał, biedniak kuł zręby,
a kulak napawał grozą,
bardzo podobny z ruchow i z gęby,
typom Caesara Lombroso.

O czym więc pisać? Nie ma tematów...
mysię złamany i łzawy.
Ostatnio widać wśród literatów
niepokojące objawy:
Jeden bohater z miną obwiesia
wykonał piąty rok planu...
Koledze — średniak wahać nie chce się,
a tego nie przewidziano!
Jak negatywny z gęby bohater
może przekraczać plany?!

Ach! czy są jeszcze jakieś tematy
bez dziwów i niespodzianek?
Czyżby już wszystkie się wyczerpały?
Nagle —

myśli błyskawiczna:
Historia... Patrzcie! Pomysł wspaniały:
opowieść historyczna!!!
Chwytać za pióro, zacić koledzy!
Nura w tradycję! Razniej!
Na to nie trzeba specjalnej wiedzy.
Wystarczy wyobraźnie.
Historia, bracie, spokojna przystań:
tam wszystko bez trudności,
tam wszystko jasne i oczywiste,
tam nie ma wątpliwości!
Krakus i Wanda! Kopernik! Rej! —
Po pięciu do nazwiska!
O muzu moja! wzlutuj i piej!
O pióro moje, błyskaj!

sztuczna i zupełnie nie wiąże się z całością książki?

— W pierwszej wersji nauczycielka była inna i została zmieniona po uzgodnieniu z Redaktorem Odpowiedzialnym — wyjaśniła autorka.

— Może była zanadto przecukrzona i przez to niezyciowa — powiedział Redaktor Działu. — Należy znaleźć jakieś wyjście pośrednie i scenę tę poprawić bezwzględnie.

Autorka znów poprawiła tekst, który brzmiał teraz jak następuje: „Nauczycielka popatrzyła po klasie nie mówiącym wzrokiem. Wszystko, tego mało w gruncie rzeczy ważnego dnia, wydawało jej się jak zwykle nieistotne. Twarze chłopców bez wyrazu, odgłos dzwonka, który jeszcze rozlegał się na korytarzu — nic jej nie obchodziły. — Pdejdź, Grzesiu — rzekła obojętnie — jak właściwie jest z tym zadaniem? — Odrobilem, ale nie wszystko — powiedział Grześ, bo z tego co pani mówiła na ostatniej lekcji zrozumiałem tylko trochę.”

radził ją po prostu usunąć, a książka bardzo na tym zyska.

Autorka wyrzuciła scenę z nauczycielką zadowolona, że nie musi już więcej poprawiać. Po trzech miesiącach poproszono ją do wydawnictwa. Rozmawiał z nią zastępca Redaktora Naczelnego, z czego wynioskowała, że książka na pewno już niedługo pójdzie do druku. — Książka jest dosyć słaba — mówił Red. Naczelny — a w pewnym miej-



scu jest wyraźna luka. Kto właściwie uczył małego Grzegorza, bohatera książki, skąd właściwie czerpie on swoją wiedzę o życiu? Moim zdaniem tak uczyć go mogła tylko miła, dobra nauczycielka, która powinna być wprowadzona jako postać do książki. Musi pani koniecznie wprowadzić jakąś scenę z nauczycielką. Sądję, że nie będzie to dla pani trudne.

— Nie, nie będzie trudne — powiedziała autorka i przywróciła swój tekst do jego pierwotnego brzmienia w rekopisie.

Po trzech miesiącach poprosił autorkę o rozmowę Redaktor Naczelny Wydawnictwa. — Widzi Pani, jak to dobrze — powiedział — kiedy wydawnictwo pracuje z autorem. Po naszej współpracy książka jest świetna, no i doskonale wypadła ta scena z nauczycielką. Wprawdzie upłynęło 12 miesięcy, ale za to teraz możemy książkę z czystym sumieniem wydrukować.

Krystyna Żywulka